WICI WIELKOPOLSKIE

MIESIĘCZNIK POŚWIĘCONY SZTUCE I KULTURZE

ROK VII NR 11-12 (73-74)

Wydawca: ANDRZEJ PRĄDZYŃSKI Redaktor: MARIAN TURWID



MARIAN TURWID (ol.)

FARA WRZESIŃSKA

AUTORZY NUMERU: Jolenta Brzezińska, Zbyszko Bednosz, Stanisław Czernik, Janina Derynżanka, Eugeniusz Morski, Franciszek Grott, Stanisław Helsztyński, Alicja Iwańska, Alfred Jesionowski, Allan Kosko, Alfred Kowalkowski, Tadeusz Kraszewski, Kazimierz Lewandowski, Kazimierz Malicki, Nora Odlanicka, Czesław Pilichowski, Stefan Szajdak, Alfons Szyperski, Leonard Turkowski, M. Turwid, Bogdan Zakrzewski.

Czesław Pilichowski:

O INSTYTUT WIELKOPOLSKI

Z pośród zagadnień współczesnych do najwięcej palących i aktualnych należy poznanie i uświadomienie sobie przeszłości kulturalnej tych regionów, w których mieszkamy i przebywamy, oraz zorganizowanie umiejętne ich działań kulturalnych w ten sposób, aby dostarczyć jaknajwiększych wartości do skarbca kultury ogólnonarodowej. Interes nauki i sztuki pokrywa się w tym z interesami społeczno-politycznymi, narodowymi.

Na Pomorzu i Śląsku dzięki zorganizowaniu Instytutu Bałtyckiego w Gdyni i Instytutu Śląskiego w Katowicach zagadnienia naukowo-artystyczne i propagandowe z zakresu kultury tych regionów są umiejętnie pielęgnowane. Stanęli na czele tych Instytutów ludzie, którzy, znając interesy podległych sobie regionów, prowadzą pracę w rozmaitych kierunkach z niesłychanym pożytkiem. Sprzyja poza tym ich działalności konieczność wzmożenia energii wobec coraz silniejszego a tendencyjnego naświetlania faktów z dziejów kultury Pomorza i Śląska nauki oraz propagandy niemieckiej.

Wielkopolska, acz równie, jak Śląsk i Pomorze, narażona jest na zakusy Niemiec, dotychczas nie zdobyła się na podobny Instytut. Zresztą ten jedyny fakt nie wyczerpywuje potrzeby założenia Instytutu Wielkopolskiego na wzór już istniejących. Wszak obserwować możemy, jak to w studiach nad kulturą Polski powtarza się i trwa wciąż jeszcze uprzedzenie historyków kultury do badań nad regionem wielkopolskim, uprzedzenie, które wynika z utartego a zasadniczego mylnego sądu, iż w regionach zachodniej Polski nic się nie działo, czemby się poważnie t. zn. w sposób naukowy zająć warto. Tymczasem rzeczywistość historyczna Wielkopolski zupełnie zaprzecza tym błędnym twierdzeniom i opiniom. To też czas najwyższy już z tym zerwać, a postarać się o założenie takiej instytucji, któraby przede wszystkim zapobiegła jednemu, ale kardynalnemu zaniedbaniu Wielkopolski, o czym najdosadniej wyraził się Adolf Nowaczyński: „Już to trzeba przyznać Wielkopolanom, że reklamować siebie i swoich ludzi nie umieli nigdy... Dawali Polsce od zarania Wielkopolanie wielkich mężów stanu, dyplomatów, polityków, kanclerzy, statystów, dawali filozofów, historyków, ekonomistów, reformatorów, pionierów, uczonych, dawali wodzów i bohaterów powstaniom. Ale legitymować się tą wieki trwającą wytwórczością indywidualności na wielką skalę, ale przypominać to kolejno Polsce w decydująco ważnych momentach nie raczyli, nie uważali za wskazane...” („Warta nad Wartą”, s. 11). Naukowy Instytut Wielkopolski zająłby się więc w sposób zorganizowany i programowy zagadnieniami z wszelkich dziedzin przeszłości kulturalnej regionu wielkopolskiego i położyłby właściwy koniec bezprzykładnym brakom z tego zakresu.

Stąd praca takiego Instytutu byłaby niesłychanie pożyteczna. Bo, choć i Poznańskie Tow. Przyj. Nauk i Tow. Miłośników Historii miasta Poznania zajmują się problemami wielkopolskimi, ale z braku środków i ludzi nie mogą objąć całości problemów, a Uniwersytet, jako zakład przygotowawczy do ścisłych studiów naukowych, z naturalnych względów tymi kwestiami szczegółowiej zająć się nie może. To też każdy, kto, chociaż trochę tylko zetknął się z zagadnieniami wielkopolskimi bliżej, spostrzega, ile tu indywidualnych usiłowań, a jak mało zorganizowanej, systematycznej pracy. I aż dziw, że ten, słynący z umiejętności organizowania pracy, Wielkopolanin, nie zdobył się na taką instytucję, któraby we właściwy sobie sposób zajęła się badaniami nad przeszłością Wielkopolski.

Pole pracy dla podobnego Instytutu*) jest olbrzymie. A więc przede wszystkim należałoby się postarać o dzieło, omawiające wyczerpująco stan badań w zakresie wszystkich dziedzin kultury wielkopolskiej: ekonomicznej, technicznej, społecznej, naukowej, artystycznej. Byłoby to dzieło wstępne niejako programem pracy Instytutu. W tym przecież nie możemy się ograniczać do „Bibliografii historii Wielkopolski” A. Wojtowskiego, niezwykle pracowicie zebranej, ale z charakteru swego nie wytyczającej dróg i możliwości badań regionalnych. Dalej Instytut taki winien zapoczątkować wydawnictwa monograficzne o poszczególnych kwestiach i osobach z regionu wielkopolskiego, postarać się o fundusze na wydawnictwa periodyczne, naukowe, źródłowe, popularne, oraz m. in. o specjalne ciągłe wydawnictwo: „Biblioteka Pisarzy Wielkopolskich”. Do prerogatyw tegoż Instytutu należałoby też popieranie wytwórczości artystycznej (literackiej, malarskiej, zdobniczej etc.), mającej charakter regionalny i tworzonej w stylu regionu.

Oczywiście, że do zrealizowania tak szeroko zakrojonego programu Instytutu potrzeba dużo pracowników naukowych. Tu jednak Instytut Wielkopolski znalazłby się w wyjątkowo dobrym położeniu. Mógłby bowiem oprzeć się w pierwszym rzędzie, jak żaden z dotychczasowych Instytutów, na kadrach profesorów Uniwersytetu, oraz na szerokich rzeszach inteligencji miejscowej i zamiejscowej. Dzięki ich solidnej, umiejętnej i oddanej pracy z biegiem lat możnaby uzyskać drobnostkowy obraz kultury regionu wielkopolskiego, a tym samym należyte jego umiejscowienie w polskiej kulturze narodowej.

*) Nie zastanawiamy się w tym artykule nad sprawami funduszów, koniecznych do założenia Instytutu i realizowania jego programu. Jeżeli okaże się w dyskusji, że istnieje potrzeba założenia podobnego Instytutu, fundusze winny się znaleźć. W to nie wątpimy.

Alicja Iwańska:

ROZCZAROWANIE

Ja myślałam, że to las się odzielenił
powydłużał, rozobłoczył, zniebieszczył
i falangą dźwięczących promieni
w zaświatowie przedświatów wrzeszczy...
i myślałam: kolorowe kłębowisko
traci barwy w walkach bez końców...
...a to słońce zwyciężało chmury
...a to chmury poddawały się słońcu.

— — — — — — — — — — — —

Ja myślałam: barwnymi kulami
Nic ożyło cudownie smutne...
a to malarz kolorowe plamy
naklejał na białym płótnie...

Kazimierz Lewandowski:

O ŻYWY KULT KASPROWICZA

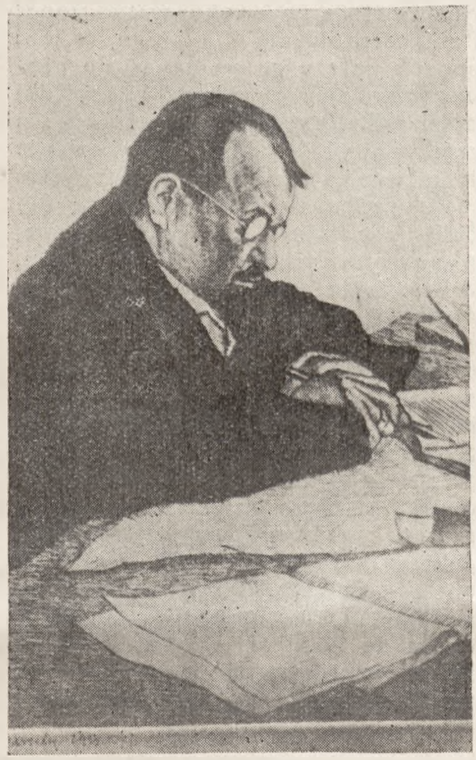
W dziejach kultu Kasprowicza mamy do zanotowania niezwykle znamienny fakt: na wieczorze Kasprowiczowskim zorganizowanym w marcu br. w Bydgoszczy przez Radę Artystyczno-Kulturalną było ponad 700 osób, a wiele jeszcze odeszło z braku miejsca na sali. Recytowanych wierszy słuchano ze skupieniem, przyjmowano je z entuzjazmem a po wieczorze z ożywieniem mówiono na temat poezji Kasprowicza. Słowem: sama poezja Kasprowiczowska, bez zwykłego w polskich warunkach uzasadnienia okolicznościowego zdołała pociągnąć i przemówić do mas, stała się dla nich *przeżyciem*. Kasprowicz okazał się potrzebny, przekonywujący.

Fakt ten zwrócił uwagę na aktualność Kasprowicza, na życiową wartość jego dzieła, dotąd niewyzyskanego należycie, oraz budzi szereg refleksji na temat dotychczasowych form kultu wielkopolskiego poety. Fakt ten zmusza do zastanowienia się nad obowiązkami, jakie mają wobec ogółu znawcy i miłośnicy poezji Kasprowicza oraz skłania do wysunięcia pewnych postulatów co do sposobów rozszerzania i pogłębiania znajomości jego dzieł i postaci, ożywienia i podniesienia jego kultu.

Przede wszystkim stwierdzić trzeba, że Kasprowicza otoczono po śmierci na ogół dostatecznym kultem zewnętrznym. Grobowiec na Harendzie, pomnik w Inowrocławiu, Muzeum w Poznaniu, ulice i place imienia poety we wszystkich ważniejszych miastach, wreszcie powszechne przyznawanie mu stanowiska największego po Mickiewiczu poety polskiego, umieszczenie go na szczytach hierarchii twórców, to są moim zdaniem wystarczające objawy *zewnętrznego* kultu. W tej dziedzinie zatem nie potrzeba nowej inicjatywy, nowych przedsięwzięć, mających na celu uczczenie poety.

Z kolei jednak należy zastanowić się nad tym, czy również pozytywnie, jak kult zewnętrzny, można ocenić inne przejawy kultu, może nawet ważniejszego, istotniejszego, jakimi są badania literackie, naukowe i ideowe nad twórczością i życiem Kasprowicza. Należałoby także zbadać, jaki jest zakres i siła jego oddziaływania i wpływu na życie duchowe dzisiejszej Polski, czy istnieje świadomość żywej wartości ideowej Kasprowicza i czy te wartości odpowiednio się wykorzystuje.

W stanie badań nad twórczością i życiem autora „Marchołta" orientuje najlepiej „Rocznik Kasprowiczowski", który wyszedł w r. 1937 staraniem Towarzystwa Literackiego im. Jana Kasprowicza w Poznaniu z okazji 10 rocznicy śmierci poety. Publikacja ta świadczy o jaknajlepszych intencjach inicjatorów Towarzystwa i redaktorów Rocznika i jest dokumentem szczerego kultu i entuzjazmu dla poety i jego dzieła. Po głębszym jednak zastanowieniu się nad zawartością Rocznika a przede wszystkim



Władysław Jarocki:
„Jan Kasprowicz przy pracy"
(akwaforta)
(ze zbiorów ks. prof. Skazińskiego).

po przestudiowaniu bibliografii Kasprowiczowskiej, zawartej w Roczniku, a obejmującej lata 1926—1936, dochodzi się do wniosku, że dotychczasowe badania utrzymują się ciągle jeszcze w obrębie zagadnień wyłącznie „specjalnych", przyczynkarskich, a syntezy mają charakter szkiców, nie popartych wystarczającymi badaniami analistycznymi uogólnień. Wyniki, jakie osiągnęli, w monografiach swoich Kołaczkowski i Wasilewski dotąd są jedynym, najpełniejszym, nie kwestionowanym obrazem duszy poety. Kasprowicz nie nasunął dotąd badaczom problemów spornych, które by mogły stać się przedmiotem walki, dyskusji naukowej, a tym samym ożywi ruch badawczy. Dlatego też liczne artykuły i wzmianki w pismach mają charakter wyłącznie okolicznościowy, nie zawierają momentów pobudzających do dyskusji, do sporów literackich i ideowych.

Stan ilościowy i jakościowy badań nad Kasprowiczem może właściwie służyć za wystarczający dowód niedostatecznego kultu, który jest zawsze jeszcze zewnętrzny, okolicznościowy, nie sięgający w głąb i nie płynący z potrzeby wewnętrznego przeżywania poezji Kasprowiczowskiej. Potwierdzają również ten sąd starannie w Roczniku Kasprowiczowskim przez St. Waszaka zebrane dowody kultu Jana Kasprowicza w Wielkopolsce, kultu o charakterze raczej „reprezentacyjnym", snobistycznym.

O zakresie i sile oddziaływania twórcy, o jego wpływie na życie duchowe narodu, świadczy zwykle w pierwszym rzędzie ilość i wysokość nakładów jego dzieł, zasięg czytających. Jak się pod tym względem przedstawia popularność Kasprowicza? Nie mam danych bezpośrednich o wysokości nakładu ostatniego wydania zbiorowego dzieł Kasprowicza z roku 1930, opracowanego przez Stefana Kołaczkowskiego, ani nie znam ilości sprzedanych kompletów tego wydania. Z faktu jednak, że ciągle jeszcze można wydanie to nabyć po cenach znacznie zniżonych w czasie „tanich tygodni" książek, że od 1930 nie wyszło nowe ani inne wydanie pism Kasprowicza, można pośrednio wywnioskować, że ilość czytelników Kasprowicza jest zawsze jeszcze *bardzo mała*. Stał się co prawda Kasprowicz autorem szkolnym, którego ma się „przerabiać" programowo na lekcjach literatury, co siłą rzeczy rozszerzyłoby zakres oddziaływania poety, lecz, jak wiadomo, rzadko dochodzi się w szkole wobec nawału materiału aż do Kasprowicza, a z drugiej strony okres matury, w którym zwykle omawia się pisarzy Młodej Polski nie sprzyja spokojnej, bezinteresownej kontemplacji poezji.

Próbą najwłaściwszego propagowania wartości ideowych Kasprowicza przez prześwietlanie problemów dzisiejszej rzeczywistości polskiej w duchu Kasprowiczowskim jest redagowany przez St. Kołaczkowskiego kwartalnik „Marchołt", którego zadaniem jest realizować w życiu społecznym i kulturalnym ideały Kasprowiczowskie. Niestety, kwartalnik ten stojący na bardzo wysokim poziomie, nie znalazł żywego, silnego oddźwięku, nie jest siłą realną. Dowodzi jednak, że istnieje u nas świadomość wartości ideowej dzieła poetyckiego Kasprowicza, lecz, jak

dotąd, za mało się te wartości w życiu duchowym dzisiejszej Polski uwzględnia.

Przyczyny tego stanu rzeczy leżą niewątpliwie przede wszystkim w ogólnych warunkach życia współczesnego, w których na wartości reprezentowane przez Kasprowicza miejsca nie ma, co więcej, w których te wartości stają się niebezpieczne dla górujących dziś ideologii czy światopoglądów. Poza tym jednak przyczyn tych szukać należy również w zaniedbaniach, w zbyt małej aktywności znawców i miłośników Kasprowicza. Bardzo cenne przejawy kultu Kasprowiczowskiego w Poznaniu, przybrały jednak charakter zbyt muzealny, co przyczyniło się do tego, że cała akcja w kierunku ożywienia zainteresowania społeczeństwa poezją Kasprowicza skończyła się na „wyrazach hołdu, czci" itd. A to przecież za mało, jak stwierdziłem na początku tego szkicu. To jest tylko forma. Chodzi o to, by Kasprowicz stał się żywy, potrzebny, by o jego ideały walczono, by wobec nich musiano zajmować stanowisko, by go nie przemilczano. O to starać się muszą znawcy i miłośnicy Kasprowicza, żywotność bowiem dzieła jego jest główną podstawą kultu, który rozszerzyć i pogłębić może tylko uświadomienie sobie i innym tej żywotności i aktualności Kasprowicza.

Kult Kasprowicza stanie się żywy i będzie najwłaściwszy, jeśli wyrazem jego będzie realizowanie w społeczeństwie Kasprowiczowskiego ideału człowieka pełnego, wolnego i czynnego, jeśli będzie coraz więcej jednostek, co „są jak drożdże w cieście, co mają w sobie fermenty, rozsadzające światy", co oderwali się od poziomów i wstąpili na skalną drogę, wiodącą ku szczytom, ku pełni człowieczeństwa. Kasprowicz musi się stać wychowawcą dusz polskich. Obecnie zaś pora najwłaściwsza, by eksploatownć to, co jest najcenniejszego w Kasprowiczu, mianowicie postulat głębi, tężyzny duchowej, powagi wewnętrznej i walki o wielkość i niezależność duszy ludzkiej. W warunkach dzisiejszej rzeczywistości, przesiąkniętej tendencjami, które powodują straszliwe upraszczanie odwiecznych zagadnień bytu, wyrównywanie wolnych i indywidualnych dusz ludzkich według jednego wzoru, które nie uznają żadnej głębszej problematyki życiowej, bardzo ważne staje się zwrócenie uwagi na bogatą wartość ideową twórczości Kasprowicza, wskazującego człowiekowi szczyty jego rozwoju, niepokojącego twórczo jego duszę.

*

Fakt tłumnego przybycia szerokich mas na Wieczór Kasprowiczowskiej poezji i fakt jej wewnętrznego przeżycia w obecnych, tak na pozór wrogich poezji czasach, zwrócił uwagę na to, że jest koniunktura na prawdziwe wartości ideowe, że jest koniunktura na wielkość, którą jednak trzeba propagować, zbliżać uprzystępniać. I tu zaczyna się właściwa praca wszystkich tych, którym poziom duchowy społeczeństwa nie jest obojętny i którzy w Kasprowiczu widzą wartości mogące duchowo wzbogacać. W jaki więc sposób należy w dalszym ciągu szerzyć i pogłębiać znajomość dzieł i postaci Kasprowicza, by wykorzystać zapał i zainteresowanie dla niego, w jaki sposób należy go wciągnąć do procesu rozwoju i przebudowy psychiki polskiej? Rzecz jasna, w pierwszym rzędzie niezbędne jest kontynuowanie tych form popularyzacji i kultu, jakie już wypróbowano i jakie okazały się celowe a więc: audycje radiowe, wieczory recytatorskie, inscenizacje, wystawianie dramatów, nowe wydania dzieł, omawiania szkolne w większej niż dotychczas mierze. — Ponadto jednak należy dążyć do tego, by Kasprowicz stał się przedmiotem zainteresowania dzisiejszych ideologów, publicystów, działaczy, szczególnie wiejskich, by go zaczęto cytować, by się na nim opierano, by z ducha jego powstawały nowe myśli, nowe koncepcje ideowe. Poza tym postać Kasprowicza — człowieka, jego życie, to przecież wspaniały temat do powieści biograficznej, do filmu, w którym możnaby pokazać wielkiego poetę na tle krajobrazów kujawskich i podhalańskich. Wreszcie nie ma dotąd popolarnego opracowania twórczości i życia Kasprowicza, choćby w wydaniu Państwowego Wydawnictwa Książek Szkolnych (w którym, nawiasem mówiąc, wydano np. tomik poświęcony Wacławowi Sieroszewskiemu), które by zaciekawiło i zaznajamiało szczegółowiej z postacią i dziełem poety szersze masy już w szkole powszechnej.

Nie wątpię, że przez spopularyzowanie Kasprowicza, będzie można pośrednio wzbudzić zainteresowanie dla innych twórców, dla zdobyczy ducha polskiego, osiągniętych w przeszłości i dać w ten sposób silne podstawy tworzącej się dzisiaj myśli polskiej, budującej się kulturze i literaturze. Wartość dzisiejszego życia duchowego zależeć będzie od tego, czy będziemy umieli używotnić i wykorzystać wartości wypracowane, stworzone przed nami, szczególnie przez tych, których uznaliśmy za najlepszych i najwyższych reprezentantów ducha narodowego i których znaczenie już nie tylko historycznoliterackie, ale społeczne, życiowe zwykliśmy uznawać i głosić, szczególnie w odświętnych okolicznościach. Obecnie, jak stwierdzamy z radością, jest pora i okazja, by to uznanie znaczenia wartości duchowych, zadokumentować czynnie, by je realizować. Pomniki, muzea, tablice pamiątkowe i towarzystwa imienia wielkich twórców muszą stać się wyrazem rzeczywistej treści duchowej współczesnego pokolenia. Tylko wtedy będą świadczyć o prawdziwym, żywym kulcie wielkości.

Eugeniusz Morski:

ŚWIATOWID

Olbrzymy słońca chodzą w borach
w błękitnych oczach noszą jesień,
pogańskie chylą się dąbrowy,
ofiarny dym po drzewach pnie się.

Włóczę się z życiem błękitnawym
wśród siwych mchów i lat zamierzchłych,
lecz wielkoludów grzmiącej sławy
w ramionach swoich nie pomieszczę.

Padł życia cień na skos jesieni,
pokłuły gąszcz pierzaste strzały,
z trudem podnoszą się kamienie
ze snów niedźwiedzich zmartychwstałe.

Pokłony chylą się rogałe,
skórzane tarcze, skalne dzidy,
i wtenczas wiem, że ponad światem
drewnianym czuwam Swiatowidem.

Alfons Szyperski:

PRZYBYSZEWSKI A JĘZYK POLSKI I NIEMIECKI W ŚWIETLE LISTÓW

Przybyszewski wyniósł spod strzechy nadgoplańskiej żarliwy kult mowy ojczystej. Spod strzechy, bo stara szkoła łojewska gnieździła się w bielonej, słomą krytej chacie, w której płynęło życie rodzinne zatroskane i nędzne. W biednej chałupie pruskiego nauczyciela tętnił jednak krzepki puls narodowy, brzmiał klawikord, dźwięczały pieśni kujawskie, rozlegała się mowa wyłącznie polska. Młody chłopiec zetknął się z niemczyzną dopiero w 12 roku życia. Polszczyzna domu rodzicielskiego była staranna, zabarwiona po wielkopolsku. Mając lat 16 w liście do Praksedy Żmudzińskiej wypowiada o języku takie oto głębokie — acz romantycznie wyrażone — spostrzeżenia.

Język to alter ego każdego narodu, to silne znamię, jakie narodowość na każdym człowieku wyciska, jest może jedynym środkiem ku oczyszczeniu zgubnych napływów obczyzny... ...Z zgubą języka naród upada — staraniem więc każdego Polaka powinno być tę wzniosłą, czystą mowę, co, jak Bohdan Zaleski mówi, aniołowie tchnieniem swoim wypieścili, strzec od skażenia, nie profanować i nie podnosić świętokradzkiej ręki na ten wzniosły utwór czystej, prostej duszy słowiańskiej. Religia i język mogą nas znowu wznieść na szczyt, na którym... pozostawaliśmy. (Helszt. str. 9).

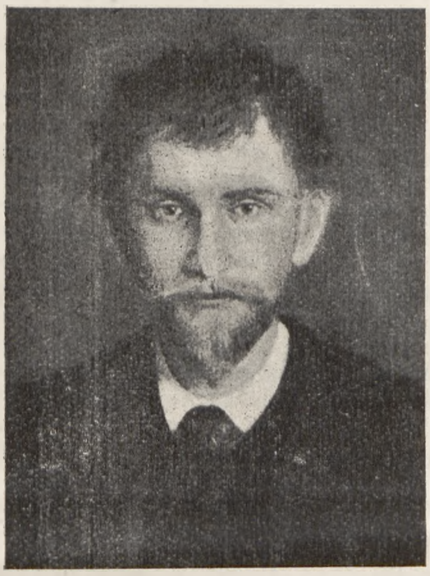
Młodzieniec wypowiada się w listach słowem namiętnym, zwrotami zapalnymi o silnym przeżyciu i nastroju:

Dusza moja to huta żelazna wiecznym ogniem gorejąca... poezja mi duszę rozrywa... moim zajęciem to odgrzebywanie powiędłych wrażeń z głębi tych gruzów i popiołów, co u mnie miejsce serca zajmują... Z liści snów, z lekkich tkanin ideałów... będę miał miękki grób. W boleści Szopena tętni ból naszego wieku...

Tak modernistycznie czuł i pisał Przybyszewski w r. 1885, na cztery lata przed wylądowaniem w Berlinie, nie zdając sobie sprawy, że wyrasta na nieokiełznane dziecko Młodej Europy, rozbudzone pod wpływem romantyzmu Byrona i Heinego. Modernistą niewątpliwie się urodził, już pierwsze słowa pisane mają fizjognomię zdecydowanie nową.

Nad Sprewą rozwija intensywną twórczość pisarską, ale cóż, niemczyzna sprawia mu trudności. W liście do Ryszarda Dehmla tak się żali: (H. 93)

Natrafisz na braki językowe, których się bardzo wstydzę, a których obecnie usunąć nie mogę mimo najlepszych chęci, bo muszę się tego dopiero gruntownie nauczyć. Pochodzi to wyłącznie z języka polskiego, w którym ciągle jeszcze myślę. Moje główne błędy: 1. Nie rozumiem użycia rodzajnika określonego i nieokreślonego, bo w polskim nie mamy żadnego



Stanisław Przybyszewski
Portret Anny Costenoble
(Berlin 1895)

rodzajnika. 2. Nie wiem prawie nic o stosowaniu trybu łączącego, bo my zastępujemy go partykułami. Chcę to teraz w Berlinie gruntownie wystudiować. W innym liście do tegoż adresata czytamy: (H. 95)

...Zaczynam wreszcie uczyć się panować nad językiem. Nigdy pewnie tego nie będę umiał, jest to moje wielkie zmartwienie. Zapóźno poznałem język niemiecki. Nieświadomy instynkt dla mowy niemieckiej, który nabyć można jedynie w najwcześniejszej młodości, jest mi obcy. Pomyśl tylko, myślę ciągle jeszcze w połowie po polsku kiedy piszę. Właśnie w tym kierunku zadawałem sobie wiele trudu przy mej powieści, ale nie umiem osądzić jak się udała pod względem językowym.

Postępy w zupełnym opanowaniu języka obcego były jednak widoczne, skoro w niespełna dwa lata później może donieść Prochazce w Pradze: Przeklęci Niemcy nie mogą tego znieść, żeby Polak pisał lepiej niż oni sami. (H. 114).

W liście do Macieja Szukiewicza w Krakowie otwarcie wyznaje: Jestem Polakiem krwią i duszą. Kocham naród polski nadewszystko... piszę po niemiecku, bo to język znany chyba w całej Europie, a ta garstka ludzi, która mnie czyta i rozumie, rozrzucona po całej Europie... wielkim uznaniem się cieszę w Czechach i Danii. Zresztą nie znalazłbym w Polsce nakładcy... (H. 117).

Skarga na opłakane stosunki wydawnicze w kraju, bezmyślną cenzurę zaborców, na względne powodzenie książek dydaktyczno-moralnych, na brak potrzeby artystycznych nowości, na chroniczne głodowanie literatów, nie wyłączając najwybitniejszych, wraca w listach kilkakrotnie. Nie szczędzi przy tym słów mocnych, wyrażeń dosadnych. Nie popada jednak w manierę, to chwilowe wybuchy, płomienie duszy, po których następuje reakcja rozsądku i skruchy. Coś z psychiki nerwowego dziecka, które popada w rozdrażnione stany samoobrony. Przeciwwagę tworzą ekstatyczne uczucia radości i upojenia. Język więc jakby osadzony na wulkanie.

Umiar, szczera troska i głęboka miłość rodzinna biją z listów do rodziców w Wągrówcu. I tu nie brak poważnych myśli o wychowaniu językowym: Dzieci moje mi się nagwałt niemczeją... także bratanek Antoś, w całym gimnazjum jedyny Polak, polszczyznę strasznie kaleczy. Następnie musi uczęszczać na ewangelicką religię, a to mnie szczególnie truje. Antoś powinien pójść do (półpolskiego) gimnazjum w Wągrówcu, a jego dzieci na stancję do brata: bo u Antka tylko po polsku się mówi. Dobrze gdy dziecko w atmosferze obczyzny przynajmniej pacierz rano i wieczór w języku ojczystym odmawia.

Sporo uwag o języku wypowiada Przybyszewski w liście z Kongsvinger z r. 1897 do Adolfa Nowaczyńskiego w Krakowie: Znam bardzo dobrze niezmierne skarby i bogactwa naszego języka, znać to chyba zbyt dobrze w moich niemieckich utworach. Szukiewicz pisał, że ja język niemiecki zeszopenizowałem, ale zrobiłem więcej jeszcze: ja język niemiecki spolonizowałem i z tego jestem dumny. Przekonasz się Pan przy tłomaczeniu... Zechce mi Pan rękopism tłomaczenia na dwa dni nadesłać, zaczem Pan go do druku odda... są rzeczy nawskroś po polsku

odczute, a które zupełnie się nie dały w niemieckim języku wyrazić. A jednym polskim słowem, jednym zwrotem powiem to wszystko, co powiedzieć chciałem, a po niemiecku nie mogłem. Bo to język strasznie sztywny, obcy mej duszy. Zadałem mu gwałt, przeistoczyłem go, dostroiłem przemocą do tonu tych uczuć, a jeszcze się... nie dał ujarzmić! Co to jednak za męka pisać obcym językiem. (H. 150).

Niemniejszą pieczą otoczył Przybyszewski język ojczysty gdy przystępował do twórczości literackiej w języku polskim. Macieja Szukiewicza w r. 1897 tak prosi: Zwróć szczególną uwagę na język, na budowę zdań. Gdyby się Panu coś chropowatym, źle wyrażonym zdawało, to zmień Pan, zgładź — tylko unikaj Pan galicyzmów i wyrażeń studenckiego żargonu. (H. 157). — Ostrożność była wskazana, gdyż pisarz poza tymi dwoma władał jeszcze językiem norweskim, francuskim i czeskim. Biernie znał języki klasyczne (greką lubił się popisywać), hebrajski i sanskryt. O „babilońskie pomieszanie" odcieni stylistycznych nie było trudno.

Zasługuje jeszcze na uwagę list do Alfreda Neumanna w Wiedniu zawierający pełne credo artystyczne naszego modernisty: Wzbogaciłem mowę niemiecką pod wielu względami, a mianowicie przez intonację, dźwięk, układ zdań i ducha języka polskiego, w którym najczęściej myślę, a który pod względem plastycznym jest o wiele bogatszy. Treść wyobrażeń pomnożyłem wydatnie przez stopienie wyobrażeń dotyku, barwy i słuchu, przez co przywróciłem uczuciu wyrażanemu w mowie w sposób symplistyczny, jego duchowe zróżniczkowanie. — ...Niezwykle kocham mowę niemiecką, wszakże nie posiada ona tych wielkich plastycznych wartości, które ma mowa polska, lecz za to znacznie więcej nawarstwień kultury... Polonizuję ją, tj. wyrabiam z niej bajeczną muzykalną wartość mej ojczystej mowy... (H. 172).

Przytoczone i inne wypowiedzi listowe dowodzą, że sprawy języka były częstym przedmiotem refleksji Przybyszewskiego. (Dalszy to rys charakterystyczny szermierza nowych haseł literackich). Widzimy, że obfita twórczość w języku niemieckim nie wypływała z żadnych pobudek germanofilskich.

Piszę teraz wiele po polsku — donosi z Paryża Mombertowi w r. 1898. Ten język jest bogaty i piękny i jest moim językiem z krwi i kości. Piszę dla samego języka, dla rytmu serca, który w mojej mowie ojczystej jest szerszy i swobodniejszy i bardziej upajający tęsknotą. (H. 231).

Język listów Przybyszewskiego jako język bezpośrednich wynurzeń osobistych nosi na sobie — rzecz zrozumiała — dość wyraźny koloryt regionalny, wielkopolski. Zwłaszcza korespondencja z lat młodzieńczych. Najczęściej zauważamy pochylanie samogłoski *o*, tak typowe dla wielkop. dialektu kulturalnego — w mowie i piśmie — minionej doby, żywotne do dziś. A więc: *stósunki, szkólne, anioł, stósuje* się, nie *mógłem, zastósowanie, wystósować*, zagadnienia *spóleczne, spóleczeństwo, ostróżny, ródzenków*.

Zanikowo pojawia się *e* pochylone w wyrazach: *koléj, chléb* i parę razy *jéj* (wszystko z roku 1885).

Odbiciem wymowy prowincjonalnej jest forma, pospolita też u młodego Kasprowicza: *tęschno*, ja *tęschnię, tęschniłem*, raz nawet: z *tesnych* wrażeń ochłonąć.

Za ludowe uznamy brzmienia: *nadgroda, wynadgrodzić, obczytanie* (oczytanie), *obswoić* się, wszystko z nim *obmówić* (omówić), — archaiczny ale i dziś w ustach starszej inteligencji spotykany jest biernik rzeczowników na *ą*. Jako najważniejszy punkt ku odrodzeniu stawiam *religią*, dostałem *korepetycją, promocją*, na *stancją*, na *pensją*, przyznaję pani *racją* itd.

Nieogólnopolskie jest: mamę *zadowolniła* moja pilność w nauce, *zadowolnienie, zadowolnić*, serdecznie *żem* się ucieszył (tak jako chłopiec 14 letni, pisze już wtedy po polsku bardzo poprawnie), *zniesła* wiele, *wspomnić*, raz nawet *boić* się zamiast bać się, forma wyraźnie kujawska, *cielesny, zechcij* mi odpisać, promienna *tęcz*, wpatrzony jak w *tęcz*, ojcu posełа (tak w całej Polsce pisano) 5 koron na *cygary*.

Z dialektycznych wyrazów i zwrotów zanotujemy: *kiejś* (kiedyś), kobiety lekusza szybko *pozbadną*, być *pozbadniętym* (poniechają, zlekceważą), mam pracy pod samą *posowę, tudotąd, tam dotąd*, adresuj też listy, *pomieszkanie, zaskórzył* (zawinił).

Charakterystyczne wielkopolskie: *o jejku, jejku*, — ...*nieprawdaż?*, *pioruńsko długo*.

Do pospolitych błędów zaliczymy: czekać *za* pieniędzmi, forma się *zmijała* zamiast zmieniała, obc*i* ludzie. Częste wahania — analogicznie jak w gwarach — ujawnia końcówka narzędnika — ym, — em, także w przyp. 3 l. mn.: kłania się wszystkiem znajomem, Dybalskiem itd., największem triumfem, nad *tem* poematem itd., nawet rózenki, ródzenki.

Z germańskiego ducha wypłynęły: piszę obecnie *nad* teorią i historią satanizmu, artykuł *stoi, ta adresa*, cóż ja *za to* mogę, *pupka* (lalka) jak *stoi* sprawa mego dramatu, chłopiec... *stary*, ani fenyga, e*k*semplarz, intenzywny, *s*zematyczny itd. Błędna skłania: *mając lat 12 oddał mnie ojciec* do gimnazjum w Toruniu.

Było by to już prawie wszystko — pominąwszy jeszcze pewne właściwości składniowe. Jak na 555 listów i rozpraw listowych, i to włącznie chłopięcych i młodzieńczych — osobliwości regionalnych, gwarowych i potknięć liczba nie wielka. Przybyszewski wytrzymuje stosunek do osobliwości językowych — prowincjonalizmów i barbaryzmów — innych naszych pisarzy nie wyłączając największych. Prawda, jego polszczyzna — jak wogóle język Wielkopolan — nie posiada tej plastyki i giętkości co język pisarzy wschodniopolskich i innych. Trudno tu o liryzm muzyczny listów Słowackiego, wytworność i polot listów Sienkiewicza, o dowcip Chopina, którego tak ubóstwiał — język to raczej abstrakcyjny o dużej jednak sile suggestii i efektownej emocji. —

Stanisław Przybyszewski: Listy, tom I wydał dr St. Helsztyński. Gdańsk 1937. — Opracowanie Listów wzorowe, szkoda jednak, że — w wydaniu naukowym — listy niemieckie wydrukowano po polsku. Traci na tym badacz języka P.

Tristan Derême — spolszczył Allan Kosko

LXXXVI.

(Z TOMU „ZIELEŃ ZŁOCISTA")

Ilem razy się śmiał, aby Ci ukryć łzy!
Ilem róż wonnych nakładł na broń moją, by
Ukryć przed Tobą, miła, że idę na bój!
Czemuż-ło raz na zawsze ugrzązł powóz mój
I w koleiny życia zapadł się po oś?
Jakło? Mam jeszcze wieczór dziś uśmiechu dość,
Kiedy słyszę, jak wokół mnie chce runąć świat,
Kiedy widzę, jak przyszłość, w którą-m wiarę kładł,
Spada, jak liść po liściu w więdnącej sasance?

Kelner, proszę mi podać żółci w dużej szklance...

(Z tomu „Zieleń złocista" przełożył Allan Kosko).

Tadeusz Kraszewski:

WUJEK CZESIO I CZESŁAW KĘDZIERSKI

Wydaje mi się, że nie popełniam zbyt wielkiej niedyskrecji zdradzając tożsamość popularnego wielkopolskiego „bajczarza" i znakomitego tłumacza powieści Knuta Hamsuna. Przynajmniej w Wielkopolsce (a „Wici" są przecież „Wielkopolskie") Wujek Czesiu jest dokładnie zdekonspirowany i dla wszystkich zaprzysiężonych wielbicieli jego bajek ten pseudonim jest tajemnicą poliszynela. A popełnianą niedyskrecję usprawiedliwiam tym, że — zaproszony przez redakcję „Wici" do napisania o Cz. Kędzierskim, jako tłumaczu Hamsuna, z okazji wyjścia nowego tomu „A życie toczy się dalej" — chciałbym zestawić dwie pasje, wykryć wspólny jakiś mianownik dwu największych miłości zasłużonego pisarza: dzieci i Knut Hamsun. Wujek Czesio, autor wierszyków i bajek dla dzieci — Czesław Kędzierski, znakomity hamsunista.

Na pozór — dwa światy, dwie całkiem obce sobie dziedziny. A jednak jest pewien wewnętrzny nurt, łączący zgrabny wierszyk o umoralniającej poincie i hamsunowską epopeję. Zakonspirowana ta łączność stanie się widoczniejsza, mniej zaskakująca, gdy pomiędzy tomem „Bajek polskich" Wujka Czesia i tomem umiłowanego przez niego Hamsuna postawimy „Bajki" Jana Chrystiana Andersena.

Bajki Wujka Czesia, gdyby szukać dla nich pokrewieństw i źródeł, należą do typu bajek andersenowskich. Parantela to w niczym ich oryginalności nie uwłaczająca; tematycznie bowiem opierają się na podaniach i legendach, wielkopolskich. Pokrewieństwo leży w nastroju, w charakterze, tak dalekim od ponurej fantastyki, opartych również na folklorze, bajek braci Grimmów.

Bajki Andersena pociągnęły Wujka Czesia do literatury dziecięcej: Bajki dla dzieci od lat pięciu do stu.

Nie bez ukrytej dumy i zadowolenia opowiadał mi Wujek Czesiu o najmilszym — oprócz dziecięcych zachwytów i miłości młodych czytelników — dowodzie uznania, jaki kiedyś spotkał jego bajkopisarską twórczość. Pewien bardzo poważny pan, notariusz zapytał przy jakimś spotkaniu redaktora Kędzierskiego kiedy wyjdzie następny tom „Bajek Polskich" Wujka Czesia.

— A czy pan radca ma wnuczka, który moje bajki czyta? — zapytał Wujcio.

— Ależ nie! — zaprzeczył starszy pan — Ja sam jestem ich czytelnikiem. Na moim nocnym stoliku leży pierwszy tom „Bajek". Czytam je sobie przed snem. Po pracy to bardzo miła lektura. Doskonale się przy niej odpoczywa.

Tę rozmowę uważa Cz. Kędzierski za sprawdzian swoich w dziedzinie bajki osiągnięć. Czytelność zarówno



Czesław Kędzierski (fot.)

dla dzieci, jak dla dorosłych, jest bowiem artystycznym wyznacznikiem doskonałego kształtu bajki.

Nie wiem, czy będę dobrze zrozumiany, gdy zestawię klimat bajki Andersena z klimatem powieści Hamsuna. Przynajmniej tego cyklu powieści, którego nowy tom jest ostatnim członem — cyklu z Augustem Powsinogę w roli głównej. A więc: „Włóczęgi", „August Powsinoga" i „A życie toczy się dalej".

Jest to krewieństwo w charakterze bohaterów, w charakterze filozoficznego podkładu, napozór nieskomplikowanego — podkładu filozofii nierozgadanej zawikłaną terminologią; lecz głębokiej, życiowej, sięgającej wnikliwie w jędro najbardziej skomplikowanych zagadnień.

Taki August Powsinoga, czyż to nie postać do bajki, umoralniającej bajki z najwyższego artystycznego piętra. Czy bardzo byśmy się zdziwili, gdyby spotkał się on z dobroczynną wróżką, która poprowadziłaby to dorosłe dziecko do zaczarowanej jaskini w górach, albo zgoła do pałacu na dnie morskim i ofiarowała mu tam skrzynię z wielkimi skarbami? Przygoda z wróżką nie wypaczyłaby w niczym, nie zmąciła rysunku bohatera, stojącego zresztą bardzo mocno, obiema nogami na ziemi, bohatera tak żywego i prawdziwego, że czytelnik szukać go będzie napewno w Polden, gdy się tam kiedy znajdzie.

Bajki Wujka Czesia — żeby nawrócić do tematu od skomplikowanej trochę gęstwy analogij i porównań — nie uciekają od cudowności. Są w nich wróżki i elfy, gadające zwierzęta, kamienie i kwiaty. Ale ich bohaterowie wyrastają z życia i do życiowych dążą celów i ideałów.

Wujek Czesio stawia sobie za zadanie wskrzesić w owych bajkach dzieje wielkopolskiego specjalnie regionu. Na istniejących, zaginionych czy ginących podaniach ludowych się opiera. Dając im nową literacką formę, nieraz z drobnej kosteczki rekonstruje mamuta; tworzy im moralny, filozoficzny sens, ożywia charakterystykę bohaterów, ich dążeń i umiłowań.

Trzeba też tu, choćby nawiasem, wspomnieć jeszcze jeden ważny impuls, który pchnął Cz. Kędzierskiego do bajkowej twórczości. To motyw narodowy. W Poznaniu przed wojną odbywało się tworzenie legend i podań w duchu niemieckim. Niemcy komponowali te bajki, z niemieckimi bohaterami i nazwami miejscowości, tworzyli bajeczne podstawy praniemieckości ziemi wielkopolskiej. Ponieważ te literackie wyczyny trafiały do młodego pokolenia, kolportowane w pisemkach dla młodzieży, włączane do podręczników, ich oddziaływanie groziło poważnym niebezpieczeństwem.

Wtedy powstała myśl wydawania bajek regionalnych w polskim duchu. Wydawnictwo wprawdzie do skutku nie doszło, gdyż projekty obalił wybuch wojny, ale z tej inicjatywy zrodził się Wujek Czesio, bajczarz znany, twórca wielu wielkopolskich bajek regionalnych.

A raz jąwszy się tej pracy sercu miłej, oddał się jej Cz. Kędzierski z pasją i zapałem. Posypały się jak z rogu obfitości baśni i bajki, wierszyki i gawędy. Wszystkie natchnione miłością dziecięcego ludku, do którego Wujek Czesio sercem do serca przemawia, poważnie, bez mizdrzenia się, jak równy do równego. To też jego bajki mogą czytać nietylko dzieci, ale i dorośli.

Wujek Czesio przez swe audycje radiowe, przez dwadzieścia i kilka wydanych tomów i tomików szeroko wśród dziatwy z całej Polski, a specjalnie już Wielkopolski, zasłynął ale obok twórczości oryginalnej nie zapomniał też o szerzeniu popularności ulubionego swego bajkopisarza,

Zbyszko Bednorz:

LAS I DROGA

Płachtami wilgłych mgieł nakryłaś, szarugo,
Po dwu stronach drogi mokrocią i grzybem pachnący las...
(Droga wzięła na siebie tłumną zwartość sosen
Drogą można iść bardzo, bardzo samotnie
I bardzo długo).

Las zamknął się w sobie, skupił w środku,
I stał cichy jak apostoł bosy.
(Może go Bóg wiecznością dotknął – ?)
Deszcz na twarde pleczyska lasu
Deszcz na drogę co sladła –
Jak mędrzec wschodni w kuckach...
Deszcz –
A z tej strony drogi i z tamtej strony
Las jesiennie, głucho zamyślony.
(Myśl lasu jest głębsza niż ludzka).

Las, szaruga – –
I ta droga bardzo, bardzo samotna
I długa – –

FRIDRICHS MALBERGIS [1] – spolszczył Stanisław Czernik

ZAGŁADA

Zadumany siedziałem
Ponad rwącą strugą.
Moc przyrody rozdziela
Falę – jedną, drugą.
Jedna wzbiera, druga pryska,
Nawet ślad nie widny z bliska.

Znikomości to losy
Życie nasze płotą.
Przeminęło, co było –
Siła, honor, złoto.
Ludy miną, państwa miną,
Przeznaczeniem ich, że zginą.

ZWABIONY

Potoku mrukliwe skargi,
Rzeczułki spokojny świat;
Młodzieńców rozsławią barki,
Dziewczętom zakwitnie kwiat.

Rzeczka głęboka i miła.
Wzrok dziewcząt czaruje świat.
To nie rusałka zwabiła,
To sam w głębiny wpadł.

[1]) Ostatnio ukazała się na Łotwie antologia poetów polskich w języku łotewskim. W celu dalszego rozwoju stosunków kulturalnych polsko-łotewskich przygotowuje się antologia poetów łotewskich w języku polskim. Książka ukaże się nakładem »Okolicy Poetów«.

Janina Derynżanka:

ZAZDROŚĆ

pamięci Br. Michalskiego

I ty może
kiedy stanąłeś na brzegu
wody radosnej i hożej
zadrżałeś z chłodu i lęku.
Słońce twoim wtedy paliło się żarem,
(pamiętasz, poeto?)
niebo błękitem się śmiało,
a ziemia –
macierzanką pachniała i miętą.
Wówczas
(innych widać nie znalazłeś leków)
cierpienie wiernej rzece zwierzyłeś –
najprościej.
Teraz
gdy patrzę na nią z zielonego brzegu
lękam się także – i tobie zazdroszczę.

Franciszek Grott:

NAD ŚLUZAMI

Wysoko nad brzeg wspięła się ścieżka w zmierzch szary,
wlecze się jak cień, jak obłok smutku, dym wspomnień –
Od widnokręgu aż po zszarzały ust karmin
w pustej przestrzeni płynie cisza – coraz pełniej.
Z zastygłej wody podnosi się mroźna ściana,
rozwłócza się w krąg, zawiesza u nóg i ramion – –
– – szarpnęło w dali ciszą chłodem nakłuwaną.
Błyśnie od śluzy. Wtłoczą się w noc czarną bramą,
rozbiją topiel, zmielą w strzępy, w morze kropel,
pierś wody sprują barki wysypane ziarnem –
jak w wizji ludzie się snują przy mdłych latarniach.
Zabulgocze toń rozbita, strzaskana o brzeg,
z łoskotem, ciężko przewali się statek obok,
zwolna i z trudem wsączy się w ciemności, jak w obłok – –
i znów się toń w sen wkołysze – jest cicho, dobrze –

tylko psy głodne gdzieś szarpną się na uwięzi,
głucho krzyk syren gdzieś w przęsłach mostu ugrzęźnie – –

Naprzeciw miasta, wiernych ścieżek, zmytych śladów –
pustą aleją w asyście rozszumień, na dół – –
idziemy cisi, zamknięci w sobie i niemi – –
Wierząco usta swe rozchylasz półkoliście
i muskasz dłonią w przelocie jesienne liście.
Wśród mroku ze mną patrzysz w spochmurniałe niebo,
w takt kroków głowę schylasz suniesz bezszelestnie,
śnisz w rozśpiewie drzew, co nad wodą się kolebią
i nie pomyślisz, że darta wiatrami jesień
wdarła się we mnie i tkwi po ust gorzki brzeg.

Leonard Turkowski:

WIERSZE POPRZEDNIE

Pierwiosnki śniegiem bite,
tętniące wieszczbą w dzwonkach,
spod zimy twardego kopyta
jak gwiazdy, błyskają na łąkach.

Nie giną, bo są z duszy.
I wiosny radosnym pędem
nabrzmiała śnieżna głusza.
— Teraz bzy tylko będą...

Bogdan Zakrzewski:

NARKOTYK

Tak jakbym wracał w te ogrody,
wśród których lekkim krokiem,
biegnąc ścinałem kwiaty z łodyg.

A przecież czas na zbitych skroniach
strzyka nerwami pulsu
zmęczona przestrzeń w oczach kona...

Tak jakbym w cieniu pod świerkami
wioząc nad sobą chmury
zostawił was przez chwilę samych.

A przecież czas gołębiem białym
co dzień o zmroku spada
i co dzień skraca skrzydeł strzały.

Tak jakbym wracał z pól w znużeniu
głową po wiatrach płynąc
i całą przeszłość w oczach przeniósł.

A to mnie łudzi dym — —,
gdy pochyloną głowę
kołyszę miękko w szarych dłoniach.

Alicja Iwańska:

POCIĄGI

Planowałam linie kolejowe
wzdłuż wszystkich zdań niedomówionych
i pociągi w bezmiar wydłużone
bez zatrzymań i bez przyspieszeń.
Śniły mi się luksusowe, — błękitne,
między-myślowe expresy.

— — — — — — — — — — — — — — —

I dlatego zapomnieć nie mogę,
żeś mnie namówił, — naciągnął
na podróż od stacji do stacji
w dalekobieżnym pociągu. .

Nora Odlanicka:

RANCHO

Rozciągnie mrok krajobraz ciasny
w szerokie prerje wietrznych traw
i coraz trudniej będzie zasnąć
przez tyle marzeń ciągnąc wpław.

Jak błogo upić słowem pychę,
na lekkich koniach dziko mknąc,
otworzy dom nasz wrota liche,
skromnie poprosi ganek: zsiądź.

Na rękach twarde rękawice,
na wardze poświst: lasso, pejcz.
Nie domek, rancho nas przywita
pięścią o stół z puszkami: wejdź!

Koń, złoto, wełna, śnieg, guano —
źle czas odmierza wrzącą krew
tak niepotrzebnie zaplątaną
w pokorną słodycz miejskich drzew.

Stefan Szajdak:

PIERWSZY RAZ

Za miastem las szumi jak młodość.

Panno z czerwcową pogodą
idziemy tam dzisiaj piaskową — gorącą drogą.

W oczach bławaty, poziomki pachną w Twych słowach.
Oj, gdybyś mogła już dzisiaj ciepły niepokój pochować,
jak wieczór zorze i płomyki poziomek —

Widzisz zwycięstwo lanc słońca na niebie stromym?
Tak w nas i wierszach zapłonie.

W trawach dzwonią rosy:
to Twoje rozsypane korale do strof przenoszę?

Umilkły zorze we włosach
i Ty i drzewa,
lecz nie jest to moment bez śpiewu:
oddajesz mi ręce — wieją ciepłe spojrzenia:
Twoje słowa
piękne i gorące jak okolna cisza czerwcowa:
— — — — — — — — — — — — — —
Teraz mówisz: wracajmy, półksiężyc nad lasem
[wzlatuje — noc woła...
Jak biały beret nad Twym czołem.

Alfred Kowalkowski:

DOM

Nad rwącą rzeką dom budował:
spiętrzone myśli w błękit lat;
i pod ciężarem gwiezdnych pował
wczorajszą głowę do snu kładł.

Zaludnił ufne wschodom okna
oczyma gnuśnych braci swych,
i kiedy mrok różowo topniał
iskrami spajał stromy strych.

Na warstwach pięter coraz śmielej
ku wichrom, dal niosącym, rósł,
a bracia w prądach brudnej bieli
wapiennych nie dojrzeli brózd.

Nie mogli wiedzieć ani przeczuć,
że już rozmyty tonie dom,
gdy go niezłomnie ponad wieczór
murował brat — napięty w pion.

Północ czołgała się po brzegu
leniwie liżąc gruz i piach,
a on na przęsłach zwalonego
budynku — gwiazdom grodził dach.

Wykończył dzieło nadobłoczne
gdy braci niósł już odpływ pian.
— I jakże teraz — człowiek — spocznie
w gmachu bez podłóg i bez ścian?

Kazimierz Nalicki:

BRZOZA

Wszystka jesteś w wietrze i we włosach.
Brzozo
Świerki huczą. Sosny klną.
Topole bluźnią.
Ty jedna śpiewasz i drżysz,
bezwolnie, luźno
Wszystka jesteś w rękach
delikatnych słabych.
Spływają twe palce
po gładkim płaszczu wiatru.
Nie trzymaj, puść.
Niech płynie wstęgą.
Łabędź.
Wietrzyk. Wiatr. Wicher. Huragan.
Brzózka. Brzoza, brzoza.
Dobrze ręce położyć.
Nic nie wymagać.
Brzozo. Brzozo.
Swój ból w ciebie złożę
Może umilkniesz.
Może zahuczysz świerkiem.
Może zaczniesz bluźnić sosną
i swoim lękiem
Człowiecze, rozpacz wydmiesz w huragan.
Pędź ją. Smagaj,
Albo uduś. Omotaj
w jedwabnych splotach
Byle nie była brzozową
skargą, płaczem, śmiechem.
Brzózko. Brzozo.
Kocham cię i czuję niechęć.

który go do bajkopisarstwa zachęcił i rozpalił. I tu mam właśnie argument, usprawiedliwiający wmieszanie Andersena do tego artykulu o Czesławie Kędzierskim i Wujku Czesiu. Przygotowując własne audycje radiowe dla dzieci, Wujek Czesio znajdował czas i ochotę na tłumaczenia bajek andersenowskich. Wygłoszony przez radio przekład bajki Andersena „O dziewczynie która nadepnęła na chleb" — żeby o tej tylko wspomnieć bajce, przyjętej zresztą z entuzjazmem przez radiowych słuchaczy Wujcia — jest jeszcze jednym laurowym listkiem w zasługach Cz. Kędzierskiego, jako tłumacza.

*

A teraz druga miłość Czesława Kędzierskiego, — drugi dział jego umiłowanej pracy — tłumaczenia Hamsuna.

Ze, przeczytawszy „Głód", czy „Błogosławieństwo ziemi" można się Hamsunem zachwycić, entuzjazmować, że można dzieło pisarza przeżywać — to jasne, nie wymaga komentarza Ale na to, by entuzjazm przetrwał lata całe, by wyrażał się nietytko w słownym uwielbieniu, ale w czynie — to już trzeba koniecznie znaleźć we własnym sercu współdźwięczące struny, trzeba tę tamtą twórczość uważać jako własną cząstkę, cząstkę własnych umiłowań, cząstkę samego siebie.

I taki właśnie jest stosunek Cz. Kędzierskiego do Hamsuna.

Jego prace tłumaczeniowe to nie żadna mechaniczna robota. Praca wprawdzie trudna, zmudna, ciężka, ale nie bezduszna.

Entuzjazm, jaki ogarnął młodego człowieka przed iluś tam laty we Lwowie, gdy przeczytał duszkiem powieść Hamsuna „Głód", pozostał Cz. Kędzierskiemu w niezmienionej temperaturze, choć kruczą dawniej brodę pobielił czas srebrnymi nitkami.

Entuzjazm nie opadł wobec trudności, jakie przedstawiało dotarcie do Hamsuna w oryginale. Młody zapaleniec wyuczył się języka norweskiego, aby ukazujące się nowe tomy ukochanego pisarza czytać zaraz po wyjściu z druku, nie czekając na przekłady.

A gdy ukazało się „Błogosławieństwo ziemi", szczytowe bodaj hamsunowskie arcydzieło, Czesław Kędzierski mógł już sam, czuł się do tego należycie przygotowany, podjąć się tłumaczenia.

Pierwsze zetknięcie się z dziełem Hamsuna, przeczytanie „Głodu" to był rok 1905. Tłumaczenie „Błogosławieństwa ziemi" ukazało się w roku 1923. Osiemnaście więc lat trwała, nie słabnąc w napięciu, ta miłość z daleka, miłość bez wzajemności. Kiedy wreszcie weszła w przychylniejsze stadium, gdy zaczęła wydawać owoce, utrwaliła się jeszcze bardziej, okrzepła. I oto, w odstępach kilkuletnich — bo zapalony hamsunista ma przecież liczne obowiązki, które go od pracy przekładowej nielitośnie odrywają i nie pozwalają, jakby chciał, przetłumaczyć wszystkiego, co Hamsun napisał — pojawia się kolejno pięć tomów. Można bez przesady powiedzieć pięcioro wspólnych dzieci Hamsuna i Kędzierskiego. Po „Błogosławieństwie ziemi" — tom „Pan. Wiktoria Marzyciele", a potem trzy tomy przygód Augusta.

Praca tłumacza con amore to praca prawdziwie twórcza. Niekażdy oryginalny twórca tyle inwencji i tyle wysiłku wkłada w nadanie swemu dziełu własnych kształtów, co Cz. Kędzierski w odtworzeniu stylu, klimatu, charakteru Hamsuna. Nie zrażają go żadne trudności, nie żałuje czasu i energii na żmudne poszukiwania. Bo jego przekład musi być zarówno filologicznie ścisły, jak wierny w całokształcie nastroju i kolorytu. Potrafi w poszukiwaniu odpowiedniego słowa wertować po słownikach, konferować i korespondować ze specjalistami, filologami i literatami. Nie ustaje w ciągłych ulepszaniach i udoskonaleniach przekładu, tak że liczne korekty roją się od poprawek.

Tak wygląda praca świetnego tłumacza.

Najlepszym sprawdzianem jej jakości jest to, że lektura gotowego już i wydrukowanego dzieła nie zdradza zupełnie włożonego w jego tłumaczenie wysiłku. Język przekładu jest czysty i potoczysty; czytelnik nie zahacza się o żadne nierówności i usterki. Ot, płynie gładko tok opowiadania korytem równym, nurtem przejrzystym. Tak samo musi się czytać Hamsuna w oryginale. Przy lekturze nie odczuwa się żadnej przegrody, żadnego pośrednictwa pomiędzy autorem i czytelnikiem.

Ostatni tom Hamsuna „A życie toczy się dalej" zamyka cykl powieści o Auguście Powsinodze. Zamyka w sposób tragiczny.

Stary włóczęga, który latami całymi wędrował po świecie i w niejednym znajdował się niebezpieczeństwie, nieraz zapewne wykręcił się śmierci groźnie zaglądającej w oczy, ginie przypadkowo, w banalnej, całkiem niedramatycznej sytuacji. To tak, jakby linoskoczek, idąc po równej drodze, pośliznął się na skórce pomarańczy i złamał nogę. August — stare dziecko, niepoprawny fantasta, snujący nieszkodliwe marzenia o wielkim bogactwie, znaczeniu, potędze — ginie niejako na gruzach swoich marzeń, przez tą swoją przyszłą, rosnącą potęgę zgnieciony. August mianowicie zamierza dorobić się na wielkiej hodowli owiec w górach. Skupuje setki owiec, rzucając pieniędzmi ze zwykłym sobie, naiwnym, nieobliczalnym gestem. I stado tych owiec, przerażone sygnałem samochodu na autostradzie, przez samego Augusta zbudowanej, porywa go i w panicznej ucieczce razem z nim wali się do przepaści.

Ta finałowa ocena zamyka cykl powieści o nadbrzeżnym północnym miasteczku, o przygodach Augusta, zwanego Powsinogą i Wszędobyszem. W tej scenie streszcza się cały majestatyczny patos i jednocześnie naiwny, rozbrający humor hamsunowskiego dzieła. Dramat śmierci i dowcip przypadku. Takim splotem dramtów i dowcipów jest życie miasteczka i życie Augusta; z takich składników złożony jest klimat powieści, składników doskonale zestrojonych atmosferą niezmąconego spokoju, powagi, wysokiego na rzeczy t ich układ spojrzenia

Największą zasługą, najwyższym osiągnięciem tłumacza jest niezmącenie w przekładzie czystości atmosfery, właściwej utworowi. Cz. Kędzierski z duchem powieści Hamsuna zżył się ściśle; czuje jej atmosferę i w nieskażonej czystości do swych przekładów przenosi. Wnikliwa intuicja, długotrwałe zżycie, gruntowne studia sprawiają, że środowisko i bohaterowie są tłumaczowi bliskie, swoje. Surowy kraj fiordów jest dlań niejako drugą ojczyzną, a kraj i lud wielkopolski jest jakby pryzmatem, przez który pisarz na Norwegię patrzy, który mu ją zbliża, pomaga pokochać i poznać. Język bohaterów Hamsuna w przekładzie jest językiem wielkopolskim. Niejednemu krytykowi może się to nie podobać, ale to język w istocie swej najrdzenniej polski. I, coby sobie ci niechętni mówili i zarzucić chcieli, język ten już się dzięki Kędzierskiemu z bohaterami Hamsuna zrósł i czytelnikowi wydaje się być dla nich najodpowiedniejszym, najwłaściwszym.

*

Wujek Czesio i Czesław Kędzierski to ludzie skromni. Jubileuszów obchodzić nie lubią, choć pewnie by im się należały. To też sposobność do omówienia całego pisarskiego trudu się nie nadarza. Dlatego pozwoliłem sobie nadużyć gościnności „Wici" i z okazji jednego tomu przekładu naszkicować choć bardzo pobieżnie sylwetkę tego podwójnego pisarza. Może to zachęci kompetentniejszego znawcę do badawczego zajęcia się twórczością i Wujka Czesia, i Czesława Kędzierskiego.

Jolenta Brzezińska:

FIGURA

(FRAGMENT OPOWIADANIA)

Mieli we wsi głościniec.

Jegó Kacper wołali, pozywali Rozmysłoski. Łóny buło Magdolana.

Dobrze jym sie wiedło, dobrze, głospodarstwo mieli ładne. Ale że nic nie jes bez kłozyry. A to prowdziwie bez tyn głościniec jyno. Głościnny jak głościnny, i wypije i musi.

Piyrwy, za chłopoka jeszczyk to ta Kacper nie piuł. Ale zaś na głościńcu to tak roz i drugi roz... Jak chłop...

Lata szły.

Wleci Urban,

— Nalijcie głościnny, a pryndko.

Kacper tyż wypije.

Przejńdzie stary Matousz,

— Wypijymy kumoter.

I już znowy.

Łod mała do wiela, coroz głorzy.

Po zrazie doś sobie Magdolana nie robiuła z tegó. Ale zaś patrzy co sie to wyprowio. Roz łónóm zbiuł, że kwaśne jabka! Innóm razóm ućkła z dziećmi. Zaś potym znowy wrota porómboł. Tak po pijanymu.

Wiync sie kobiycko mortwi.

— Diaboł w niym siedzi?

Kiedy na drugi dzin Kacper aniołyszek.

— Kara Bosko cheba — myśli Magdolana, — abo mu któ co zadoł.

Radzi sie kobiyta.

Matka mówióm, storka powiadajóm:

— By trzeba łodczynić.

I dorodzajóm:

— Na huby idź Magdłosia.

Magdolana myśli. Nie szła nigdy do cioty, ale jak trzeba!... Mówiyli, że Kaśka z hubów głupio nie buła. Potrafiuła na wszysko.

Wiync Magdolana poszła.

Ale nie świodczóło.

To ji baby doradziuły staróm Prakse. Że staro to móndrzyjszo. Że potrafi lepi. Że Jagusinygó Wojtka nazod dó ni przycióngła.

Poszła Magdolana.

Nie świodczóło

Tedy powiadajóm matka:

— Idź Magdłosia do proboszcza.

— Księże[1]) jegómościu — prosi Magdolana, po rynkach całuje, za kolana łobłopio.

Zawołoł ksióndz Kacpra, prawiuł, tłumaczuł, kara Bosko i piekło, powiado.

Błogać tam!

Zezłośció! sie Kacper jak sto diabłów. Kozania mu prawić bydzie? Czy to łón nie wiy? Piekło! Piekło! Łón nie wiy, że piekło?

I uchloł sie na umór ło to piekło.

Martwióła sie Magdolana. Rady sobie nie wiedziała. Bo co na takiygó zrobić?

Storka wyzywali:

— Karwaś sobie na łeb dziewucho wziyna.

Magda tak nie myślała. Przecie po trzyźwymu nie buło lepszygó chłopa. Rynki na nióm nie podniósł. Grzych by miała jakby tak miała mówić. Aby jak buł pijany. Przeklynto gorzoła!

Powiadajóm potym babusia:

— Jes móndry w Parzynczewie. Tyn na wszysko pómoże.

Czekało kobiycko na łokazyjóm.

A Kacper tymczasym chloł a chloł. Nie bez to, żeby Magdzie na złoś, nie, ino bez to, że gó ta gorzołeczka tak ciógnęła.

Pojachoł Kacper Rozmysłoski do miasta.

Magdolana w dyrdy do starych.

— Płódźcie storka, doglyndniecie u mnie, do Parzynczewa polete.

Poszła.

Tyn isty stary dziod buł. Starzy ludzie lubióm doś wiedzieć. A tyn przecie buł móndry. Nie, młody by tak nie poradziuł, ale tyn musi. Tyla norodu dó niegó sie zlatywało, kożdymu pómógł.

Leciała łod niegó gryndóm. Kawoł drógi przecie. A boła sie, żeby Kacper pryndzy dóma nie buł. Niesła mu ziele. Zamówióne.

Skatajóła sie jak pies.

Kacpra dóma nie buło jeszczyk. Przyjachoł dopiyro wieczorym. Przyjachoł. Cierpliwości człowiekowi zbrachnie. Kónie gó same przywlekły. Wyzywać czy walić te świnie? Łobrzygoł sie całki.

Łobrzydły chłop.

Młojdy Magdolana zaposała, jak do gnoju. Łobrzydły sie tyn Kacper zrobiuł. Musiała sobie to powiedzieć. Nie, takiygó chłopa to sie już żadziuła.

Na drugi dzin podstawiuła mu Magda zielo do wypicio. Napiół sie. Ani nie wiedzioł co pije.

Magda sie cieszóła.

— Skóma na gorzołe gó łodyjńdzie — powiadoł ji móndry z Parzynczewa.

Piuł Kacper ziele roz, i drugi roz piuł, i potym znowy, i znowy potym.

Magdolana oż poweselała. Tak przecie miało być. Tero już wódki nie tknie.

Zaś Kacpra wstyd buło za to łostatnie uchlanie sie Tak mu zaś znowy Pam Bóg rozumu nie łotjón, żeby nie wiedzioł, że ładnie to nie jes. Wiync jak mógł tak uciykoł, jak nojdali łod flaszek. Kole gospodarstwa lotoł, a w gościńcu Magda chłopóm nalywała.

Wpodł roz Urban.

— Kornusa dawej stary — woło na Kacpra.

Wiync mu Kacper daje.

— Żynie sie — skrzeczy Urban. — Z blasiatóm Fróckóm.

— Blasiatóm? dziwuje sie Kacper.

— Tej! Jo ci dóm blasiatóm!

Widać sóm nie wiedzioł, że to mówiuł.

Kacper pacnół gó w bary.

— Fajno dzieucha!

Popiyli sie na zgode.

Tegó dnia taki brój buł u głościnnych, jakiygo całko wioska już nie pamiyntała.

I ziele nie świodczóło.

Głupieli wszyscy na to i dziwowali sie łogrómnie.

— Bło widzisz Magda, młożeześ czegó zaboczóła, jak ci kozali robić — mówiyli.

— Kiedy paadóm wóm, że nie.

— Nie, nie. A jo wiym, że ta z Kónojadu poradzi na wszysko zamówić — mówióm na to łociec.

— Kiedy paadóm, że nie. Nic nie zaboczółam.

— Jezu, Magda nie zarzykej sie. Jo nie dóm wiary. Jo zaś wiym, że Kaska z hubów na wszysko poradzi.

Matka wierzyli w nióm.

— Jak ta krowa — łopowiadali — nie kciała sie łocielić...

— Abo tyn móndry — prawiyli łociec.

— Tyś musiała co zaboczyć. Jo sobie nie dóm przepowiedzieć. Takiygó daleko ni ma. Do niegó przyjyżdżajóm...

— Wiycie, jo myśle — prawióm zaś płotym storka, — że tyn co gó łoczarowoł musi mieć wielgóm młoc.

Łociec sie dziwowali:

— Ale żeby ani tyn z Parzynczewa nie poradziuł sobie na takiygó, ani staro Praksa?

— Tegó to jo na mój rozum tyż pojóńć ni moge — powiadajóm storka.

Tak sie stało, że jednygó dnia pijusy w głościńcu siedziały i siedziały.

Dzieci chrapały już, Magdolana pokładła je z wieczora, ale sama, chocioż tyż już downo legła, spać ni mogła.

Ni miała spokoju. Leżała i słuchała.

Nojpiyrw zaczyni sie przemowiać.

[1]) ę tłustym drukiem oznacza y uosowe.

Zaś potym coroz to głośni. A nojbarzy Urban z Kacprym.

— Żeby sie ino nie pobiyli.

Ale stary Matousz rozgrodziuł ich pewnie.

Magda słuchała. Miarkowała. Tyn buł pewnie nojtrzyźwiyjszy.

Słuchała coroz barzy strwożóno. Darli sie, ryczeli.

Stary Matousz rozkazowoł:

— Do dóm łochlapusy!

— Żywy nie wyjńdziesz!

To Kacper — rozeznała.

— Ino płodź!

A to Urban.

A Ludwik, co na majdanach mioł gospodarstwo,

— Błoisz sie pierónie? — ryczoł. Zlynknióno usiadła.

Bijatyka jak diabli! Przeklynto gorzoła!

Bez chwiułke — słyszała już — Urban i Ludwik klyni już na dworze.

Siedziała już z nogami spuszczónymi na zimie.

Może ich Matousz rozgrodziuł. Moc mioł.

Kacper — słuchała — darł sie za niymi.

Matousz coś krzyknół, trzasnół drzwiami.

Kacper bumnół w nie roz, bumnół drugi roz, wiedziała już, Matousz zawarł je ze dworu.

Pojyna w mig.

Tero wyleci tu do izby.

Capła Wikcie, szarpła Antka, Michoł sóm sie zbudziuł, Rózia już wyhycła.

Kacper łotwiyroł już drzwi do siónki.

— Siekiyre wezne.

Pewnie na te zaparte drzwi.

— Magda, — ryczoł — siekiyre! Dzie siekiyra?

Tero wleci na nich!

Magda szarpła łokno. Coś spadło. Michoł wyhycnół, wzión łod ni Wikcie, potym Antka, potym Rózi pómogła.

Kacper już drzwi rozwarł.

— Magda! — darł sie. — Siekiyre dawej!

— Uciykecie! — krzykła na dzieci. Michaś złapoł Wikcie, Rózia pocióngła Antka.

Wdyrdła sie na łokno.

— Magda, ty cioto!

Już buł za nióm.

Wymkła mu sie.

Leciała za głosym Wikci.

— Dej Michaś!

Porwała małóm i leciała bez łogród. Serce ji marło, czy aby dzieci sie skowały, czy łóna zduży?

— Matko Bosko Nieustajóncy Pómocy! Cicho Wikcia, cicho — przyciskała dziecko.

Kacper szaloł na podworku.

— Jezusie, ratuj nos, Matko Nojświyntszo, ratuj!

Wpadła za maliny, miyndzy zielsko i żagowki.

Rózia z Antkiym tam siedzieli i płakali cichuśko.

— Cicho dzieci — zamruczała.

Jak ni miały płakać? Nogi do cna miały poparzóne i tyn strach. Sama giyry poparzóła, przykucła jednak, Wikcie przycisła, żeby nie płakała.

Na drugi dzin zaniesła na mszóm.

Ale widać już Pam Bóg ni mioł nad nióm litości.

Stanisław Helsztyński:

HOŁD Z ZIEMI FIORDÓW I FIELDÓW DLA PRZYBYSZEWSKIEGO W R. 1899

Od maja 1896 roku jako jeden z pierwszych Małopolan korespondował z Przybyszewskim Maciej Szukiewicz. Interesował się pisarzem polskim, przebywającym w norweskim Kongsvinger, sam bowiem urodził się w Sztokholmie i pewien kontakt kulturalny z Szwecją zawsze zachował. Przebywał w Krakowie po przeprowadzeniu kilkuletnich studiów w Pradze Czeskiej, powoli lecz stale zdobywał sobie coraz pewniejsze stanowisko w literaturze. Rzecz dziwna, po przyjeździe Przybyszewskiego do Krakowa we wrześniu 1898 nie wszedł do jego grona, w którym nie wszyscy kompanionowie w swych obyczajach odpowiadali jego gustom. W mieszkaniu poety na ul. Siemiradzkiego był zaledwie parę razy i oddalał się coraz bardziej od zgiełkliwej bohemy tamtejszej. Urok jednak Przybyszewskiego trwał: najlepszy dowód w tym, że Szukiewicz nasłuchawszy się opowiadań Przybyszewskiego o Norwegii postanowił w czerwcu 1899 — odwiedzić Skandynawię. Umyślił sobie oddawna, że pierwsza jego podróż obejmie Norwegię i Szkocję. „Korespondencja, a potym osobista znajomość z jednym z najlepszych u nas znawców Skandynawszczyzny, którego rozprawy, a także ustne relacje



Stanisław Przybyszewski (fot.)
(Kongsvinger sierpień 1894)
(Ze zbiorów Staats- und Univers.-Bibliot. Hamburg)

o tamtejszych ludziach i społeczeństwach były dalszym bodźcem do wykonania raz powziętego planu". Oczywiście znawca ten to Przybyszewski, chociaż Szukiewicz nigdy go w relacji swojej po nazwisku nie wymienia. Kilkakrotnie powołuje się na rekomendacje, otrzymane od tego spirytus movens całej wyprawy, lecz uporczywie ukrywa jego nazwisko. Jest to zrozumiałe, gdyż w jesieni 1899 r., kiedy drukował opis podróży („Z ziemi fiordów i fieldów", Warszawa 1900, Biblioteka Dzieł Wyborowych), był już z Przybyszewskim poróżniony na dobre. Powody wyjaśniają „Listy" Przybyszewskiego, tom I, poz. 310. Inaczej było w czerwcu tegoż roku. Pozory przyjaźni jeszcze trwały, Przybyszewski dał Szukiewiczowi listy polecające do szwagra swego Helge Bäckströma, prof. uniw. sztokholmskiego, do Jensa Thiisa, dyrektora Muzeum w Tronthjem, i Gustawa Vigelanda w Tronthjem.

Właśnie w Tronthjem odczuł Szukiewicz najlepiej przyjazną atmosferę, którą mu przyjaźń i listy Przybyszewskiego przygotowały. Triis i Vigeland robili wszystko, co mogli, żeby mu pobyt w Tronthjem, tej starej stolicy norweskiej, uprzyjemnić. Dnia 28 czerwca 1899, w dniu, kiedy na statku wybierał się gość polski w objazd fiordównadbrzeżnych,ThiisiVigeland

spędzili z nim wieczór na pogawędce i przyjacielskiej „popijawie". Mamy o tym taką relację w książce: „Wkrótce potem zjawił się i Vigeland. Pladder nasz w trójkę, rozpoczęty około drugiej godziny z południa, przeciągnął się do późnego wieczora, a wśród niego przekonałem się, że: 1) Norwegia ma dobrą starkę, 2) nie zbywa jej na znośnym piwie, 3) importuje tanie i rzetelne wina, 4) szampan nie należy tu do zbytku, a dalej że polska gościnność bynajmniej nie przewyższa norweskiej, że Polak ledwie może dotrzymać Norwegowi w piciu, że w serdecznej kompanii można sto mil od kraju poczuć się jak w domu, że dopóty jest człekowi przy szklance ponczu dobrze, dopóki nie musi biegnąć na pokład statku"...

To drukowany opis — nieznanym pozostał list trzech partnerów, tej „piolterstunde", wysłany w tej zamroczonej chwili do Przybyszewskiego i Dagny w Krakowie. Dokument ten już samym zewnętrznym wyglądem świadczy, że powstał w bardzo osobliwej chwili. Znać, że trzej współautorzy listu ledwie władali piórem: rozlane plamy atramentu, olbrzymie koszlawe litery, fantastycznie zamaszyte podpisy swiadczą o ich różowym humorze. Słowa pozdrowienia z dalekiej Północy otwiera wesoły tekst Szukiewicza:

„W restauracji „Hotel Britannia" piszę Ci tych kilka słów. Jestem pospołu z Thiise i Vigelandem przy szampanie i znajduję, że norweska „piolterstunde" jest rzeczą pod każdym względem wyborną.

Maciej Szukiewicz."

Dyrektor muzeum nie zdobył się na większy koncept: palnął olbrzymi kleks i oświadczył: „Das is Dein This", na drugiej stronie powtórzył zawadiacko podpis i dodał po norwesku: Kan ikke thegne mer (Nie mogę więcej rysować). Oświadczenie to odnosi się do zarysu głowy, autoportretu lub portretu Przybyszewskiego, rzuconego na drugiej stronie.

Jako trzeci zaprodukował się Vigeland gryzmoląc w najokropniejszy sposób po norwesku:

„Droga Duchna i Stachu,
My jesteśmy wszyscy pijani, Thiis, Szukiewicz i ja, Gustaw, tak jak w Pankow, gdy leżałem pod stołem. I kochamy Cię również mocno jak wtedy, Gustaw".

W Pankow, północnej dzielnicy Berlina, mieszkał Przybyszewski z Dagną wiosną r. 1896, — wspomnienie odnosi się chyba do jakiejś libacji w tym właśnie czasie.

Nielada więc „piolterstunde" odbyła się 28. 6. 1899 w Tronthjem. Partnerzy biesiady nie zboczyli z drogi sławy, po której już wówczas kroczyli osiągając dziś po latach prawie czterdziestu najwyższe szczyty w panteonie kultury norweskiej.

Wszak Thiis (ur. 1870), ówczesny dyrektor muzeum przemysłu artystycznego w Tronthjem, stworzonego jego siłami, dziś dyrektor Nasjonalgalleriet w Oslo, jest właściwym organizatorem muzealnictwa norweskiego. Wszechstronnie wykształcony, władający językami i błyskotliwym piórem, przyjaciel szeregu malarzy francuskich, kierował i kieruje dotąd zakupami do zbiorów państwowych. Dzieła jego z dziedziny historii sztuki wywoływały zawsze szeroki oddźwięk, a napisał ich sporo, jak: „Norwescy malarze i rzeźbiarze" (1904—1907), „Leonardo da Vinci" (1909), „Zebrane rozprawy o sztuce nordyjskiej" (1920). [Wobec Przybyszewskiego nie okazał jednak Thiis miary sprawiedliwej. W książce p.t. „Edward Munch jego współczesność" (1933) napisanej dla uczczenia 70-lecia znakomitego malarza, przyjaciela Przybyszewskiego, nie docenia znaczenia rozprawy tegoż o Munchu z r. 1894 ani też osobistego wpływu poety na malarza. Por. uwagi dra St. Sawickiego w studium „S. Przybyszewski und Norwegen", Edda, Oslo, marzec 1934, p. 14. Tym nie mniej przyznać musimy, że Thiis jest wprost niezwykłym zjawiskiem na terenie swego kraju.

Jeszcze bardziej ważkie słowa podziwu wywołuje postać Gustawa Vigelanda, najlepszego rzeźbiarza norweskiego. Jego znaczenie w dziedzinie tej da się porównać jedynie z rolą Ibsena i Bjoernsona w literaturze XIX wieku. Próbował wielu zawodów, za młodu służył jako marynarz na statku handlowym. Studiował długo i uporczywie, w kraju i zagranicą, poddawał się wpływom wielu wieków i prądów, od egipskich począwszy do najbardziej współczesnych, pośród których wielką rolę odegrały motywy literackie natury ekspresjonistycznej co tak bardzo entuzjazmowało Przybyszewskiego („Piekło") Od r. 1905 przeszedł Vigeland niejako na służbę stolicy kraju: miasto Oslo zamówiło u artysty gigantyczną fontannę do parku w zachodniej dzielnicy. Dziesiątki monolitów, rzeźb, bronzowych i kamiennych grup, składa się na swego rodzaju unikat artystyczny i urbanistyczny.

Istnieje biust Przybyszewskiego dłuta tego mistrza. Z korespondencji został prócz powyższego urywka jeszcze jeden, obszerny list.

Marian Turwid:

„ŚMIGA"

(FRAGMENT OPOWIADANIA)

...Więc stary młynarz nie schodzi z wiatraka, jak żeglarze nie schodzą z pokładu. Często ujrzysz go na galeryjce niby na kapitańskim mostku. Przed laty stawał na galeryjce nie tylko jako kapitan, ale jako admirał całej eskadry żaglowców. Siedemnaście wiatraków, w szeroko rozrzuconej gromadzie, machało tu wtedy pracowicie ramionami. Lecz jego wiatrak wymachiwał najzawzięciej. Był pierwszy. Bo on pierwszy dawał znak do walki z wichurą — i on najdzielniej stawić umiał czoła orkanom i huraganom. Nic dziwnego. Miał przecie najdoświadczeńszego komendanta i najsprawniejszą załogę. — To ci buł przyścipny łobuz! — wspominał nieraz stary Wróbel swego pierwszego oficera. — Wzionym go na wiatrok prawie łod dziecioka i przyuczułym jak sie należy. Robota to mu sie ino tak polyła w ryncach. A po śmigach to sie tak skrabać potrafiuł, jak po drobce. Tyn ci sie rozumioł na wiatrach. Prawie tak — jak jo. Gdzie ta mojymu chłopokowi do niegu. Ino że, jak psiadusza dorós, to bardzi lubioł dziewuchy niż wiatr. I to było jegu złe. Nie roz mu mówiułym: Nie lotej tak Stachu za dziewuchami, bo sie wylotosz. Ale bo to chcioł słuchać?! Oż sie i dochrapoł. Jak dzisiej to pamiyntom: Była niedziela i my z mojym Frankiym pośli do miasta na niszpory a Stachu zostoł na wiatroku. Mioł czekać na wiatr, bo już cicho było bez pore dni. Po kościele namówiuł nos wuja Andruch na karty. Karta mi szła jak nigdy. Kozyry to mi sie ino tak sypały. Wiync sie tyż i zasiedziołym do późna. Oż tu przychodzi Walek z Psor i powiado: Ni mógym pryndzy przyść, bo wielki dyszcz spod i wiatr sie zrobiuł paskudny. — Te Walek, nie bondź gupi! — wołom do niegu, — i mi na wiatr nic nie godej, bo żebyś wiedzioł, że taki wiatr na wiosne to istne złoto. To wej mój nojlepszy pomocnik. — Ładny pomocnik, nima co!? — zaśmioł sie Walek. — Tak go wuja wychwolo, a ón wujowi całom śmige łod wiatroka łoderwoł...

Myślołym, że szczyniok gupoty sobie stroi, ale nie. Jak sie zaczon przysiyngać i Pana Poga kochać, to mnie goronc łobleciol. Porwołym sie z miejsca, a Franek za mnom. —

Józefie świynty — śmiga łoderwano! Wyleciołym na ulice, a wiatr mi zaro czopke z głowy zdar. I gdzieś sie psiajucha przepadła, bo do światła daleko, a lampy to tak tańcowały na wietrze, że nic prawie widać nie było. — Szukej Franek czopki! krzyknółym, — a jo polete na wiatrok. Nikt cheba jeszczy tak pryndko z miasta do wiatroków nie doleciol, jak jo wtynczos. Kogóś ta potrónciułym po drodze ale nie wiym kogu. Dopiyro za miastym zrobiuło sie troche widni. Całe niebo zawalone było dycht chmurzyskami, tylko niży, nad borym, świciuł słabo długi, siwy posek. Na tym posku już zdaleka zoboczułym wszystkie wiatroki i mój tyż. U wszystkich śmigi krynciuły sie, jak te wartołki, tylko mój wiatrok stojoł i jak kalyka wycióngoł w góre jednóm sztywnóm rynke.

Nie patrzołym — dzie droga, dzie płot, dzie rów. Leciołym bez ogrody, bez pole, byle pryndzy. Józefie świynty! co sie tam mogło stanońć. Co tyn psiaskóra Stachu wyrobiol? Gnoty szczyniokowi połumie, łapy poobrywom. Żeby tak nie uwożać! Żeby takom krzywde i takom porute porzomnymu wiatrokowi zrobić!

Mało co sie nie przewróciułym o leżoncom śmige. — Stachu! krzyknółym roz i drugi Ale wicher mi całki głos nazod do gymby wpakowoł. Wiync wpodym do wiatroka i szukom. Ciymno i głucho. Ino cało buda sie trzynsie jak we frybrze, bo wicher łupie w stawidłowóm ściane. I koło zapyndowe zastawione. Psiakrew! Tak w niym stynko i trzeszczy, jakby wiatr mioł zaro wszystkie tryby wyłomać i drugom śmige łoderwać! A tu Stacha nima i lampy na swojym miejscu tyż nima. Gdzieś sie podzioł cholera! gdzieś sie skruł! Stawidło trzebno na gwołt popuścić, wiatrok łobrócić, a tu ani światła, ani pómocy. Oż na poddasze za chłopokiym wylozym. Bogać tam. Ino gołymbie niepotrzebnie wystraszułym.

Wiync po omacku zeszedym na dół, na dwór, do dyszla. Patrze — a tu błysnyło światło w szporze podbudówki. — Mom cie ty chorobo! Tuś bratku! Czekej! Jakieś drewno potrónciułym nogom. Złapołym za nie i już bułym przy dźwiczkach. Szarpnółym nimi tak, że choć zamkniynte były łod środka na hoczyk, to sie otwarły łod razu. Usłuszołym babski pisk. Wiatr zaro zdmuchnuł lampe, ale przecie zoboczułym co te świnie robiom. Krew mnie zaloła. — To ty cholero tak wiatroka pilnujesz! Wiatr mu śmige łobrywo, a ty sobie pod wiatrokiym świństwa z dziewuchom wyprowiosz! Już jo ci świntuchu sprawie wesele. I zaczonym prać gdzie popadło. — A becz, a skomlij tero jedno z drugiym. Mosz — psiakrew — mosz za mojom śmige!

Dziynka Bogu, że było ciymno, bo buł bym ich w ty piyrszy złości na śmierć poprzetrónconł.

Wygoniułym ich na noc i na dyszcz. — I żebyś mi sie tu wiyncy paskudzie jedyn nie pokazywoł! Żebym cie już wiyncy na oczy moje nie widzioł! — —

Na drugi dziyń przyszła matka Stacha prosić za synym. Płakała biydoczka i prosiła a prosiła. I mnie tyż żol było, bo chłopoka od małości na wiatroku chowołym. I taki przyścipny do roboty buł jak żodyn. Ale trudno. Jak służby nie dopilnowoł — to darmo. Świynty Boże nie pomoże. Porzóndek musi być, psiokrew nie!?

Wydołym staryj rzeczy i szlus. Niech sobie idzie z panym Bogiym. Jo ta już wiyncy Stacha widzieć nie chce... —

Stoi stary Wróbel na galeryjce i choć o tym nie wie, to czuje się zupełnie tak samo jak admirał w którego oczach zatopiono całą eskadrę. Siedemnaście wiatraków pracowało tu dawniej na szerokiej i równej przestrzeni rozłożonej między miastem a lasem. Dla wszystkich było dosyć zboża, dosyć roboty i dosyć wiatru. A teraz?..,

— A tero? — z rezygnacją kiwa siwą głową stary Wróbel, — tero zostołym jo som.

Z DALSZYCH REGIONÓW

Alfred Jesionowski:

ROLA POLSKI W POWSTANIACH ŚLĄSKICH

(NA TLE POLSKIEJ BELETRYSTYKI)

Trzykrotne krwawe zmagania się ludu śląskiego z pruskim okupantem nie wywołały w Polsce tego echa, jakiego by się spodziewać należało. Można nad tym ubolewać, ale trudno zbytnio dziwić się. Sprawy śląskie były wśród ludności polskiej mało popularne, obchodziły głębiej i pełniej jedynie Wielkopolskę, która zawsze — i to już dawno przed wojną — utrzymywała ze Śląskiem bliskie stosunki. Jednakże w r. 1919 i częściowo także w r. 1920 Wielkopolska absorbowana była jeszcze silnie sprawami własnymi. Jeszcze nie cała Wielkopolska wolna była od pruskiego okupanta. Nic dziwnego, że nawet ta najbliższa Śląskowi dzielnica polska nie wzięła w rozgrywającej się tam rozprawie tak intensywnego udziału, jakby to napewno w innych warunkach była uczyniła. Jeśli jednak w tym okresie mówić można o jakimś wydatniejszym poparciu ruchu emancypacyjnego ślązaków ze strony Polaków z poza Śląska, to pochodziło ono głównie z Wielkopolski. Nawet w czasie, kiedy Poznańskie zajęte było oczyszczaniem swego terenu z niemieckich załóg wojskowych i Grenzschutzu, nie zapomina się o tym, że braciom śląskim czym prędzej z pomocą przyjść trzeba. Zrozumiano także, że przyjść trzeba z pomocą zbrojną. Echa tego zrozumienia znajdujemy w całym szeregu poezyj, publikowanych wówczas po wielkopolskich pismach prowincjonalnych. Oto, jak nawołuje jakiś domorosły poeta (Czesław Białasik z Czerniejewa) w wierszu, kiepskim zresztą, jeśli idzie o formę, ale pełnym szczerego entuzjazmu, zrozumienia i współczucia:

„Na Śląsk, na Śląsk, na Górny Śląsk,
Iść trzeba, gdyż tam nasz lud,
którego gnębi zdradny wróg!
— — — — — — — — — — — —
Mamy poczekać, aż dyplomacja przemówi,
Aż brać nasza wyginie od głodu i kul?
Wtenczas zapóźno, Śląsk słusznie odmówi
nam prawa do siebie, praw koić jego ból.

Wiersz ten jest znacznie dłuższy przytaczam tylko krótki fragment tej rymowanej (po częstochowsku) odezwy. Głośniej, natarczywiej, bardziej alarmująco i nieco zgrabniej w formie brzmi drugi głos z Wielkopolski (Jadwiga Rzepecka z Poznania):

Śląsk ratować, Śląsk ratować,
bo niewinną spływa krwią!
— — — — — — — — — — —
Myśmy stali tam od wieków,
Na kopalniach czy wśród miedz —
I zostaniem, choćby ledz...
Bracia nasi, wy Ślązacy!
W waszą pierś biorący cios —
Oto wasz słyszymy głos
Krzywdy waszej zew.
Wróg za gwałty swe odpowie,
gdy poczuje naszą broń.
Wszyscy wraz, na koń, na koń,
Na Śląsk wiedzcie nas wodzowie!

Głosy te, jakkolwiek nieudolne w wyrazie, dowodzą, że nie zapomina się w Wielkopolsce o krwawiącym Śląsku. Wiemy także, ile pomocy doznał Śląsk z tej części Królestwa polskiego, która graniczyła bezpośrednio z terenem powstańczym.

Słyszymy raz po raz o tych, którzy przedzierają się przez granice (lwowscy kadeci), by wziąć udział w powstaniach, w komitetach plebiscytowych organizowanych w różnych miastach Polski, by przyjść Śląskowi z pomocą materialną (patrz powieści Wierzbińskiego: „Pękły okowy" i Pośpiecha: „Człowiek w płomieniach"). O stołecznym komitecie plebiscytowym informuje np. dokładniej Gustaw Morcinek w swej świetnej powieści p. t. „Wyrąbany Chodnik", opisując tonem lekko ironicznym, nie bez pewnej złośliwości, ruch w biurze plebiscytowym w Warszawie. Morcinek podkreśla coprawda niezmiernie życzliwy stosunek mieszkańców Warszawy do sprawy śląskiej, ale demaskuje równocześnie ich straszliwą ignorancję w tej sprawie, nie wypowiadając się szczegółowiej o opinii sfer oficjalnych co do samego zagadnienia powstań i plebiscytu, co byłoby znacznie ciekawsze, niż owe barwne obrazeczki z biura.

Na ogół wyczuwano jednak na Śląsku pewną obojętność Polski dla jej spraw i trudnego położenia, przyjmowano z żywym niezadowoleniem wszelkie dyplomatyczne zabiegi, wyrażono głębokie rozczarowanie, że Polska jako całość, nie spieszyła, oficjalnie czy pokryjomu, z pomocą zbrojną (spodziewano się przecież powszechnie wkroczenia wojsk Hallera na Śląsk), że biernie przyjmowano krzywdzące decyzje aliantów w różnych istotnych dla Śląska postanowieniach. Nie zdawano sobie bardzo często sprawy z tego, w jak trudnym a wręcz tragicznym położeniu znajdowała się wówczas Polska sama, która od pierwszej chwili swej niepodległości wrogów odpierać musiała na wszystkich swych granicach, bronić swej niepodległości. To tragiczne położenie Polski wykorzystali wydatnie Niemcy, pogłębiając rosnącą powoli niechęć Ślązaków do Polski. W „Wyrąbanym Chodniku" próbuje Morcinek tłomaczyć trudne stanowisko Polski. Tłomaczenie to wkłada w usta jednego z bohaterów. Otoczenie przyjmuje je z pewnym sceptycyzmem, niedowierzaniem, tak bardzo przecież liczono na interwencję wojsk Hallerowskich. Cóż się jednak dziwić ludziom prostym, kiedy liczni inteligenci podzielali to zapatrywanie, nie potrafili należycie ocenić sytuacji, w jakiej znalazła się Polska. Dowodem tego niektóre wiersze znanego poety śląskiego, proboszcza z Istebnej, Księdza Grima (pseud. Ślązak):

„na nic się zdały szumne przysięgi,
puszyste słowa przeszły jak dech,
rząd tam w Warszawie w gębie był tęgi
Dziś się odbija chwalba potęgi
w sercach Ślązaków szyderstwem...

(Z nad źródeł Olzy tom II).

Tak gorzkie słowa wymykają się poecie, gdy ogłoszono ostatecznie ustalenie granic na zachodzie Polski.

Żale co do obojętności polskich czynników rządzących znajdujemy niejednokrotnie w naszej beletrystyce powstańczej, ograniczają się one jednak głównie do pretensyj natury wojskowej. Żaden z pisarzy nie ujmował w powieści powstańczej stosunku Polski do spraw śląskich w okresie powstań i plebiscytu w formie zasadniczej i poza wymienionymi rekryminacjami innych żalów nie znajdujemy. Dopiero po powstaniach, po ustaleniu granic, w pierwszych czasach polskiej państwowości na Śląsku, zaczyna się nowa i odrębna fala żalów, stanowiących jakby echo niespełnionych obietnich plebiscytowych.

Ale to już rozdział osobny.

OD REDAKCJI

PO SIEDMIU LATACH

Zeszyt niniejszy, którym zamykamy siódmy rok pracy „Wici Wielkopolskich" jest ostatnim przed dłuższą przerwą, którą zmuszeni jesteśmy ogłosić. Skazani — od pierwszego już zeszytu — na walkę z trudnościami materialnymi, stanęliśmy w chwili obecnej u kresu naszych możliwości. Możliwości te były zawsze aż nazbyt nikłe w obliczu zadań, które należało wypełnić. Nie dysponując, już od pierwszej chwili istnienia naszego pisma, wystarczającymi środkami, podjęliśmy pracę mimo to, z uwagi na katastrofalny stan życia literackiego naszego regionu przed siedmiu laty. Trzeba było podówczas podejmować pracę natychmiast, bez oglądania się na trudności i braki. Dziś — acz daleko jeszcze do tego stanu jaki pragnęli byśmy widzieć — przecież sytuacja uległa wielu zmianom na lepsze. Zwłaszcza w stolicy regionu — w Poznaniu, gdyż ośrodki pomniejsze w zupełnie jeszcze niewystarczającym stopniu wprzągnięte zostały do wielkiej współpracy kulturalnej. W imię tej współpracy walczyły „Wici Wielkopolskie" przede wszystkim, starając się docierać do najmniejszych, najbardziej uśpionych zakątków, by przez ożywianie przywiązania do regionu, przez ambicję współzawodnictwa o lepsze z innymi regionami budzić wolę twórczą, przekopywać nowe dopływy do wielkiej rzeki kultury narodowej. Miłość ziemi i entuzjazm tworzenia uczyniwszy podstawą programu, pracowały „Wici Wielkopolskie" w przeświadczeniu, że „cywilizacji narodu potrzeba do życia ciepła, potrzeba tych wartości, jakie przynosi życiu konkretne umiłowanie czegoś, konkretne wcielenie". Dążąc do artystycznego uzewnętrznienia potężnych uczuć drzemiących w łonie społeczności wielkopolskiej pragnęły „Wici W." tym samym zasilić skarbiec kultury ogólnopolskiej wartością dotąd niedocenioną i w niezmiernie małym stopniu eksploatowaną.

Siedem lat pracy „Wici Wielkopolskich" to mozolne i powolne realizowanie programu. Powolne — bo brak niezbędnych funduszów nie zezwalał na należyte rozwinięcie akcji, na rozbudowanie gęstej sieci korespondentów, tworzenie działów nowych i konsekwentne prowadzenie tych, które stworzono i które, jakże często wypełniać trzeba było nie w myśl intencji redakcji ale w miarę ofiarnie nadsyłanego materiału. W tych warunkach improwizacja zastępować musiała nieraz programową kompozycję, a szczupłość miejsca stała na przeszkodzie dążeniu do zogniskowania wszystkich twórców kulturalnych Wielkopolski przy wspólnym warsztacie.

A jednak — na całość siedmiu roczników „Wici Wielkopolskich" złożył się wysiłek nader pokaźnego zespołu Współpracowników. Ich to bezprzykładnej ofiarności zawdzięczają „Wici W." swe siedmioletnie istnienie. Z najgłębszą tedy wdzięcznością wspominamy tutaj tych wszystkich, którzy z życzliwą gotowością pospieszyli na nasz apel, dając dla dobra sprawy regionu wielkopolskiego z całkowitą bezinteresownością swą cenną pracę. Oto ich nazwiska:

Balicki Stefan, Banaszak Władysław, Bąk Wojciech, Bednorz Zbyszko, Beilmannówna Zofia, Bieńkowski Zbigniew, Birkenmajer Józef, Bochenek Leon, Bogaczyk Romuald, Brzeska Wanda, Brzęczkowski Stanisław, Brzezińska Jolenta, Brzeziński Józef, Buderawska Barbara, Charkiewicz Adam, Chmura Piotr, Czarnowodzki Janusz, Czartkowski Adam, Czernik Stanisław, Dąbrowski Stanisław, Deresiewicz Bogdan, Deresiewicz Janusz, Dereżyński Mieczysław,

Dobrucki Bogusław, Derynżanka Janina, Dołżycki Leon, Dostatni Jerzy, Drwęska-Doeringowa, Dytkiewicz Adam, Fabian Wiktor, Fiweger Kazimiera, Frydrych Władysław, Gomolewski Ks. Feliks, Grot Franciszek, Hanyż Andrzej, Helsztyński Stanisław, Iwańska Alicja, Jarocki Władysław, Japoł-Asanka Michał, Jernas Florian, Jesionowski Alfred, Kaczmarek Leon, Kaczmarek Zdzisław, Kędzierski Czesław, Koczy Leon, Koehlerówna Aniela, Kołodziejczyk Józef, Kossowski Stanisław, Kołomłocki Stefan, Kontny Franciszek, Korab Jerzy, Kosko Allan, Kosidowski Zenon, Kowalkowski Alfred, Kowalkowski Zygfryd, Kretowicz Kazimierz, Kraszewski Tadeusz, Kruska Erich, Kuminek Henryk, Lasek Konrad, Lewandowski Kazimierz, Lwowski Sylwester, Magierowa Nina, Magdański Marian, Majewska Zofia, Malicki Kazimierz, Marcinkowska Barbara, Marcinkowski Władysław, Matuszewska Bronisława, Morski Eugeniusz, Meller Konrad, Mroziński Jan, Mycielska Helena, Noskowski Witold, Nowakowski Tadeusz, Odlanicka Nora, Orczyk Jan, Papée Stefan, Patecki Marian, Pawlakowa Stanisława, Pilichowski Czesław, Pluciński-Pigwa Kazimierz, Połczyński-Janta Aleksander, Piechocki Jan, Pietrykowski Tadeusz, Polankiewiczówna Wanda, Pomykaj Stanisław, Pospieszalski Antoni, Prądzyński Andrzej, Prądzyński Edward, Rejman Janusz, Rogalski Aleksander, Rosicki Teodor, Roy Stanisław, Równicki Stanisław, Rusinek Michał, Rychler Witold, Schibelhuth Hans, Szalla Jan, Stablewska Iry, Stasiewski Julian, Ston Witold, Spychalski Jan, Serwański Edward, Szmaj Stefan, Szary Florian, Szajdak Stefan, Szczebrzyc Bronisław, Szleszkowski Antoni, Szpunar Julian, Sztaudynger Jan, Szyperski Alfons, Szymański Jan, Swinarski Artur-Maria, Swieżawska Hanna, Swieżyński Edward, Tałuna Teodor, Turkowski Leonard, Tomaszewski Adam, Wachowiak Ludomir, Wasilewski Zygmunt, Waszak Stanisław, Witkowski Leon, Witt Edwin, Wroniecki Jan, Wojewódzki Bogdan, Wojciechowski Jakub, Wojcieszak Stefan, Wojtkowski Andrzej, Wize Kazimierz, Zakrzewski Zdzisław, Zakrzewski Bogdan, Zalewski Zygmunt, Znaniecki Juliusz, Zgaiński Stanisław, Zgodziński Czesław.

Z niemałą wdzięcznością wspomnieć nam również wypada Redakcje tych pism, które w trakcie siedmiolecia „Wici Wielkopolskich" nie szczędziły im uwag i rad, omawiając lub notując etapy ich działalności. Pisma te — to: „Kurier Poznański", „Dziennik Bydgoski", Ilustrowany Kurier Codzienny", „Dziennik Poznański", „Kurier Warszawski", „A. B. C.", „Warszawski Dziennik Narodowy", „Orędownik", „Dziennik Kujawski", „Nowy Kurier", „Kurier Bydgoski", „Czas", „Ekspres Poranny", „Gazeta Polska", „Polska Zbrojna", „Kurier Lwowski", „Głos Narodu", „Lech", „Dzień Pomorza", „Kurier Łódzki", „Prager Presse" i i. oraz czasopisma: „Myśl Narodowa", „Gazeta Literacka", „Kurier Liter.-Artyst. I. K. C.", „Okolica Poetów", „Przegląd Katolicki", „Kultura", „Kronika Miasta Poznania", „Przegląd Bydgoski", „Przegląd Oświatowy", „Tęcza", „Ziemia", „Pion", „Wiadomości Literackie", „Teatr Ludowy", „Kamena", „Dwutygodnik Zet.", „Polonista", „Zabory", „Piast", „Archa" i i.

Nie zawsze — oczywiście — spotykała się praca „Wici Wielkop." z życzliwością i zrozumieniem. Niejednokrotnie do pionierskiego charakteru tej pracy przykładano kryteria najzupełniej nieodpowiednie. Częstym powodem nieporozumienia była nieznajomość warunków w jakich „Wici W" realizowały swój program. Nie mniej często sądzono o całości na podstawie niewystarczającego fragmentu rezultatów. Powierzchowna, a co gorsza złośliwa ocena wysiłków stała się niejednym kamieniem rzuconym pod nogi pracownikom „Wici W.". Niektóre z tych kamieni rzuciły ręce od których mieliśmy prawo spodziewać się raczej pomocy, niż przeszkód. Gdy z wdzięcznością przyjmowaliśmy każdy głos rzeczowej krytyki, to wobec tendencyjnych zarzutów czy złośliwych napaści staraliśmy się nie tracić cierpliwości i wiary. Przychodziło nam to tym łatwiej, gdyż przecież w szeregu naszych Współpracowników i Przyjaciół znaleźli się ludzie o najbardziej w szerzeniu kultury polskiej zasłużonych nazwiskach. I tutaj niech nam wolno będzie wymienić zwłaszcza Zygmunta Wasilewskiego i Witolda Noskowskiego. Pierwszemu winni jesteśmy ogromną wdzięczność za wspaniały, esencjonalny artykuł o regionaliźmie*), który bez reszty formułował nasz program i stał się drogowskazem, — drugiemu zaś za niezmiennie życzliwe, stałe, zrozumienia pełne wspieranie wysiłków naszych cenną radą i wskazaniami wyrażanymi za pośrednictwem łamów tyle dla regionalizmu wielkopolskiego zasłużonego „Działu Kultury i Sztuki" Kuriera Poznańskiego.

Na koniec trzeba nam serdeczne podziękowanie złożyć p. Andrzejowi Prądzyńskiemu, który był nie tylko ofiarnym „Wici Wielkopolskich" wydawcą, ale i ich entuzjastycznym i oddanym współtwórcą. Entuzjazm jaki ożywiał współtwórców i współpracowników „Wici Wielkopolskich" pozwala nawet dziś, w obliczu konieczności przerwania pracy, wyrazić mocną wiarę w rychłe podjęcie wysiłków naszych na nowo. Wierzymy, że ten nowy wysiłek będzie tym pełniejszą i pewniejszą służbą w imię kultury wielkopolskiego regionu, że podstawą mu będzie siedmioletni dorobek i doświadczenie „Wici Wielkopolskich".

*) Zygmunt Wasilewski: „Zagadnienia Regionalizmu". „Wici Wielkop." Nr: 6 i 7.

KSIĄŻKI I PISMA NADESŁANE

Marian Paluszkiewicz: **„Katedra Poznańska i jej zabytki"**. Poznań 1938. Nakład. „Par" Polsk. Ag. Rekl.

Zenon Kosidowski: **„Z Okresu Złotego Kultury Poznania"**. (Tygodnik Literacki 1838—1845.) Poznań 1938. Nakł. Zorządu St. Miasta Poznania.

K. Piekarczyk i K. Pluciński: **„Wieczory Czwartkowe w Pałacu Działyńskich"**. Poznań 1938. Nakł. Zw. Zaw. Liter. Polskich.

Wojciech Rzeźniacki: **„Bydgoszcz i powiaty Bydgoski, Szubiński i Wyrzyski"**. Bydgoszcz. Nakł. Zw. Pop. Turystyki.

„Kronika Miasta Poznania" R. XVI. Nr 2. Organ Tow. Miłośników Miasta Poznania. Redaktor Zygmunt Zaleski.

„Teka Pomorska" R. III. Nr 4. Toruń. Dwumiesięcznik regionalny poświęcony zagadnieniom Kultury i Sztuki. Redaktor Mgr Andrzej Bukowski.

„Kamena" Miesięcznik Literacki. R. V. Nr 9-10. Chełm Lubelski. Redaktor Kazimierz Andrzej Jaworski.

„Głos Plastyków" R. V. Nr 8-12. Wyd. Zw. Zaw. Polsk. Artyst. Plastyków. Kraków.

Cena: pojedynczy numer 40 gr. Prenumerata wprost z administracji z przesyłką kwartalnie 1,50 zł, półrocznie 3,00 zł, całorocznie 6,00 zł. Na poczcie tylko kwartalnie zł 1,05.

Do nabycia we wszystkich kioskach „Ruchu", we wszystkich kioskach gazetowych Poznania i Bydgoszczy, we wszystkich większych księgarniach Wielkopolski. - W Warszawie: Księg. Gustawa Szylinga, ul. Szpitalna 10. - W Krakowie: Księg. D. E. Friedlein.

Redakcja: Poznań, ul. Marcelińska 6 m. 1 — Przedstawiciel redakcji Alfred Kowalkowski, Poznań, Słowackiego 48/6
Przedstawiciel redakcji na Warszawę: Dr. St. Helsztyński, ul. Grottgera 19 m. 13 — Tel. 8.45.48.
Korespondencje kierować należy do Administracji i sekretarjatu redakcji: Września, ul. Poznańska 6.

Nakładem i drukiem A. Prądzyńskiego we Wrześni. Konto P. K. O. Poznań № 200.057.